



WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

T Y G O D N I K

Nr. 47 (203)

Warszawa, Niedziela 20 listopada 1927 r.

Rok IV

Oddział

„Wiadomości Literackie”

w Paryżu, 123, boul. St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

JÓZEF WITTLIN

POCHWAŁA „SŁOWNIKA ETYMOLOGICZNEGO” BRÜCKNERA

Już drugi raz przypada mi zaszczyt pisania elogium ku czci Aleksandra Brücknera i Jego „Słownika etymologicznego języka polskiego”. Nie czuję się powołany do zimnej, naukowej oceny, opartej na filologicznej analizie tego olbrzymiego dzieła. Od tego są inni, godniejsi. Moim narzędziem w tym wypadku jest entuzjazm, i niech mi wolno będzie użyć go bez miary.

Ukazanie się monumentalnego dzieła Brücknera w chwili gdy w Polsce toczą się zajadłe spory o akademię literatury nabiera szczególnej doniosłości. Przecie jednym z zadań akademii ma być uprawa oraz inwentaryzacja naszego języka. Był u nas człowiek, którego serce zabiło by triumfalnie na widok arcydzieła Brücknera. Niestety, serce to już nie żyje. Mam na myśli dobrego pastera niefortunnie trzody polskich słów: Stefana Żeromskiego. Z pokorą, godną średniowiecznego zelatora, z czcią, niemal religijną, pochylał głowę autor „Przedwiośnia” przed każdą pracą z zakresu kultury języka. On, który jak nikt inny wiedział, kiedy się słowo rodzi, czem oddycha, odżywia się, jak się rozmnaża i dławczego umiera. Każde umarłe słowo było dla Żeromskiego relikwią, tem świętszą, im więcej w niem było urody za życia. Ale są słowa, których piękność dopiero po śmierci staje się widoczna. Takim słowem udzielał Żeromski łaski zmartwychwstania w swych dziełach.

Przypomnijmy twórcę idei akademii literackiej przy sposobności doskonałego czynu Brücknera!

Ale dzisiaj, ktoś, jeśli nie współczesni poeci, którzy na swych tarczach wypisali słowo „Słowo” przez wielkie „S”, poeci układający „Słowa we krwi” i „Modlitwy o słowo”, ktoś, jeśli nie oni, ci pogarbi słowa, dionizyjczy ekspresji i korybanci dźwiękowych bachanali, — ma pojąć

piękność i ważność dzieła brücknerowego? Oto otrzymaliśmy na własność wspaniałe herbarium słów, w którym Brückner ułożył cztery tysiące roślin żywych i umarłych. Przewagę mają nie słowa zasuszone i martwe, lecz żywe, soku pełne, z korzeniami, głęboko uziemione w naszych sercach. Po wyrwaniu jednego takiego słowa z zieleni Brücknera widzimy wilgotne grudki ziemi uczepione na koniuszkach słowa, jak grzyby zakrzepłej, ludzkiej krwi. Nawet słowa nieżywe w słowniku tym żyją, udzielwszy swych soków potomstwu. Pokolenia słów mijają nas tutaj z uśmiechem wieczności na ustach. Każde słowo mówi o sobie „non omnis moriar”, kładąc się do grobu. Cztery tysiące roślin oddychających gorącym uwielbieniem życia! Całe życie ludzkie ujęte w słowa oddzielne, skatalogowane według dźwięku! Z tych czternastu zeszytów bije mocna woń zieleni, a które słowa bezwonne są — mają, jak piwonie, kolorowe szaty. Dąbczaki znajdujemy tu obok mleczków, wychuchane kwiaty ciepłannie obok ordynarnych chwastów. Niektóre słowa kłują przy dotknięciu jak głąg, inne parzą jak pokrzywa. Niczego nam Brückner nie oszczędził. W doborze materiału nie powodziło się pruderji. Nie wstydził się pokazać prawdziwych rodziców każdego słowa, lubo niejedno słowo wołałoby ich się wyprzeć. W ten traktowaniu słów ustanowił Brückner prawdziwie demokratyczne zasady. Słowa sędziwe, arystokratyczne, o paranteli, sięgające wieków zamierzonych, postawił bez ceremonij obok niemrawych golowasów w dziejach języka, lub obok pekatych nuworiszów. Nic nie szkodzi! Równość, wolność, braterstwo! Wszystko jedno, skąd się bierzesz, słoweczko, czy z górnej dziedzińcy pojęć abstrakcyjnych, czy też należysz np. do inwentarza stajni: tu, w słowniku, niema gradusów klasowych, tu wszyscy są rów-

ni, byleby tylko zaczęli się na tę samą literę.

Owszem, uszanował Brückner wszystkie związki krwi, zachodzące między słowami, uszanował nawet małżeństwa morfologiczne. Uwzględnił kuzynostwa słów, ustanawiając przedewszystkiem primogeniturę. Bez litości zdemaskował dzieci nieprawego łoża. Są słowa bowiem, którym się zdaje, że są pochodzenia czysto polskiego, słowa udające nacjonalistów. Przed okiem Brücknera jednak nie ukryje się nawet najdrobniejsza przymieszka krwi obcej. Ilu to Żydów np. odnalazł w różnych rzekomo staropolskich wyrażeniach! Najwięcej jednak bekartów miał język polski z Germanją! Na to doprawdy niema rady. Żadne frymanki nie pomogą temu frasunkowi! O nie, wobec żelaznej zasady alfabetu niema pardonu! Alfabet jest nieprzekupny i nie zna protekcji. Umieszcza w jednym ordynku słowa wielkiej wagi, szlachetnego dźwięku i dostojnego znaczenia, razem ze słowami - ciurami, słowami - chamami, słowami - dubielami. Dystrykcja nie gra tu żadnej roli, absolutnie żadnej! Obok siebie stają na baczność słowa, każde pod swoją literą, jakby pod karabinem tego samego systemu. Bogini „Marzanna” oparła się na „masielniczce”. Uważaj, bogini, żebyś nie zatłuszcila swojej białej staty! „Chryja” znalazła się w pobliżu „Chrystyjanie”. Bez zgorznienia! Tu prawdziwa demokracja! Przed obliczem wokalizmu niema różnic stanowych, klasowych, narodowych, religijnych, majątkowych, nawet — etycznych, tu sens słowa musi do słowniwa poddać się literze. Nietylko literze prawa, ile prawu litery!

Z największą wdzięcznością, summa cum laude, przyjąć winni tę arcydzielnią historję naszego wysłowienia, który ułaja za św. Janem Ewangelistą, iż: „Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo”.

PASCAL I VALÉRY

Rozmowa z prof. Fortunatem Strowskim

Fortunat Strowski! Któż jest ten Francuz o tak polskiem nazwisku i bódaj niemniej polskiem imieniu?

Urodził się pod Bordeaux w r. 1866, z ojca emigranta, który musiał opuścić Galię po r. 1848. Odsunięty w domu przez matkę Francuzkę od wpływów polskich, wychowany we Francji, musiał się znać głęboko przejąć kulturą francuską, skoro powierzono mu katedrę literatury francuskiej w Sorbonie. Ale mimo to zachował zasadnicze cechy umysłowości polskiej w metodzie badań, a sercem bliski pozostał ojczyźnie przodków.

Jak głęboko tkwi w polskości, niech będą przykładem te dwie przedmowy jego: pierwsza do francuskiego wydania mickiewiczowskich wykładów o literaturach słowiańskich, druga do polskiego wydania „Obrazu literatury francuskiej w w. XIX”, której urywek przytaczamy poniżej: „Pragnąłbym, aby moja książka była lepsza i aby autor jej był więcej znany. Jakkolwiek jednak książka jest mierna i nawiązko jej autora nieznane, niechże będą od tej pory uznane za polskie, a chociaż nie przestały być francuskie, niechże mają zaszczyt powrotu do ogniska ojczystego”.

Ktoby nie znał Fortunata Strowskiego, a zobaczył go raz pierwszy, nie spodziewałby się, że profesor uniwersytetu w tak różnych rozdziałach swojej energii kierunkach. Powołany, zdawałoby się, jako profesor literatury do badań nad rozwojem historycznym twórczości literackiej minionych pokoleń, bierze czynny udział w bogatym życiu literackiej dzisiejszej Francji.

Profesor Sorbony, krytyk literacki i teatralny, współpracownik wielu czasopism, jest autorem książek takich, jak „Pascal et son temps”, „St. François de Sales”, „Montesquieu”, „Bossuet”, „La sagesse française”.

Wszechstronną działalność profesora, pisarza i krytyka nagrodziła Akademia Nauk Moralnych i Politycznych, powołując go przed rokiem do swego grona.

Uzbrojony już w tę garść informacji, a wiedząc skądinąd, że szczególną uwagę przywiązuje do swoich studiów nad Pascalem, który i mnie samego szczególnie pociąga, skorzystałem ze sposobności, aby poprosić go o kilka chwil rozmowy.

— Styszałem, że pan profesor przygotowuje nową książkę o Pascalu.

— W istocie. Chciałem napisać życiorys Pascala, życiorys przepiękny faktami — taki, żeby go mógł czytać stróż mego domu. Ale z tem jeszcze poczekam. Narazie pracuję nad nowym wydaniem dzieł Pascala, poprzedzonym krótką biografją.

Chwila obecna wydaje się sprzyjać ponownemu wydaniu samotnika z Port Royal. Świat się przekonał, nie po raz pierwszy zresztą, że sama kultura materialna nie wystarcza. Stąd zainteresowanie się rzeczami ducha. A mało jest chyba książek, wprowadzających nas tak daleko w dziedzinę ducha, jak „Pensées”. Możemy więc uważać „Pensées” za książkę aktualną w najlepszym tego słowa znaczeniu.

— I to nie w jednej tylko dziedzinie. Gdzież (nawiazując do głosnej dziś kwestji poezji czystej) znaleźć lepsze przykłady czystości natchnienia? Poetyczność jest Pascalowi niemniej chyba wrodzona jak matematyka. Ma poetyckie obrazowanie, długość oddechu wielkiego naprawdę poety, a dreszcz jego natchnienia niejednego poprzedził romantyka.

— Ciekawy przyczynek do tej kwestji przyniesie nowe, przeze mnie opracowane wydanie „Pensées”. Pascal niektóre myśli swoje pisał — wierszem.

— ...? — Oczywiście nie wierszem rymowym. Ale...

Wygląda to w następujący sposób Na środku wielkiej karty z dużymi mar-

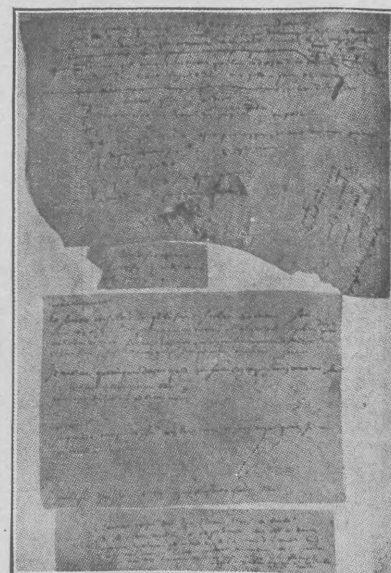
ginesami Pascal napisał a właściwie poddyktował jedną ze swoich „Pensées”. Spróbuję ją zacytować, zastrzegam jednak, że mówię z pamięci:

„S'il se vante je l'abaisse
s'il s'abaisse je le vante
et le contredis toujours
jusqu'à ce qu'il comprenne
qu'il est un monstre incompréhensible”.

Odkrycie niezmiernie ciekawe! Tem bardziej, iż przemawia ono za tem, że

FORTUNAT STROWSKI
rysunek Becana

PASCAL



RĘKOPIS „MYŚLI” PASCALA

Pascal był świadomym swoich środków poety, który nie nie zostawiał przypadków. W tej też świadomości artystycznej Pascala można znaleźć uzasadnienie, że jego nawskroś „romantycznemu”

Dr. Bogumił Wydra
PRAKTYCZNA NAUKA JĘZYKA CZESKIEGO
GRAMATYKA-ROZMOWY-SŁOWNIKIEN-WZORY
Warszawa
Nakład J. Buriana, 1927
Cena zł. 3.50

temperamentowi mógł przypaść do gustu (poza fantastycznym Montaignem, — co było dosyć naturalne) również i tak spokojny Epiktet.

— Jest jeszcze jeden powód, który wydaje mi się w dużej mierze tłumaczyć tę pozorną sprzeczność między spokojem bogów Epikteta i niepokojem ludzkości Pascala. Pan zna zapewne Epikteta w nowoczesnym tłumaczeniu?

— Czytałem „Podręcznik” po francusku w przekładzie pani Dacier.

— Otóż Pascal czytał innego Epikteta. W r. 1609 ukazały się u Jeana d'Houqueille w Paryżu „Les propos d'Epictète, recueillis par Arian, auteur grec, son disciple, traduits du grec en français par Frère Jean de St. François”. Z wszystkich przekładów greckiego stoika jest to najwierniejszy i najbardziej oryginalny. Niesłychana barwność języka francuskiego, rzeźbistość, jednolitość i siła wyrażenia, niekiedy wana żadnym fałszywym estetyzmem, czynią z tego Epikteta daleko od dzisiejszych przekładów odbiegającą książkę. Tęgo to Epikteta o zupełnie świeżym wizerunku i smaku Pascal czytał, kochał i z niego robił wyciągi.

A zresztą Pascal, będąc chrześcijaninem i żyjąc w innej epoce, inne znalazł wartości, niż pogański bądż o bądż filozof grecki. Podziwiając i wielbiąc spokój Epikteta, Pascal, inaczej, niż on patrząc na ludzi, na spokój zdobyć się nie mógł.

— I to właśnie ma mu za złe Paul Valéry, przeciwstawiając tę zupełnie współczesną — jak twierdzi — i przerażającą niepewność duchowego oblicza Pascala wzruszającej jasności Kartezjusza. „Przeżył mnie wieczne milczenie tych nieskończonych obszarów”. Pamięta pan profesor sensacyjny atak Valéry'ego na niepodlegającą dotąd krytyce wielkość Pascala.

— Wydaje mi się on zresztą uzasadniony ze strony tego poety, choć oświadczenie z nim się nie zgadzam.

Nie cisza tych obszarów przeraża Pascala, lecz ich nieskończoność.

Nieskończoność nie przeraża go jednak swoją wielkością i niezrozumiałością. Pojmuje on ją n'e jako metafizyk, ale jako matematyk. Nieskończoność jest to dla niego ruch bezustanny między dwiema przeciwnymi i nigdy niedostępnymi granicami, między nieskończeniem małą i nieskończeniem wielką. Ruch ten, nigdy niewstrzymywany, zawsze się zbliża do celu i nigdy go nie osiąga. Niepokój Pascala jest to ruch wieczny.

Nic dziwnego, że tak przeciwna istocie spokoju i jasności psychiki, nie przypada do smaku autorowi „Wstępu do metody Leonarda”.

Przychodzi mi właśnie na myśl wiersz Baudelaire'a, który dobrze wyraża postawę intelektualną Paula Valéry.

„Je hais le mouvement qui déplace les lignes”.

Nietrudno jest zresztą, spoglądając na jego twórczość poetycką, odnaleźć to samo wszędzie umiowanie bezruchu.

— Bezruchu, bo nawet wtedy, kiedy ruch opisuje, jak np. „W duszy i tańcu”...

— Tak, nawet wtedy służy on mu tylko za pretekst do nieskończonej liczby oświeśleń umiowanej idei spokoju.

— Podobno nawet — jak twierdzi André Lewinson — wzorem były pocie w pisanu kartony, wyobrażające schematycznie poszczególne momenty tańca. Ruch więc taneczny opisywał patrząc na zastępie w bezruchu postaci.

Doprowadzeni w ten sposób do tej nieuniknionej już dzisiaj w każdej poważniejszej rozmowie literackiej „kwestji Valéry'ego”, postanowiliśmy urwać w przekonaniu, że n'e raz jeszcze przyjdzie do niej powrócić.

Witold Mieczysławski.

MIECZYSLAW BRAUN

NIECH ŻYJE AKADEMJA!*)

Dobrze się stało, że rozgorzał spór nieakademicki w sprawie akademii literatury polskiej, bo przez to poruszono praktyczne zagadnienie literatury w życiu społecznym i pisarza w społeczeństwie. W tych wyborach nierównych, lokalnych, publicznych i odwrotnie proporcjonalnych oddaje swój skromny głos na akademie. Na pytanie „być albo nie być”, skierowane do poczętej w pomyśle instytucji piśmiennictwa polskiego, odpowiadam okrzykiem: — niech będzie!

Mówię za siebie i nie przypisuję mej deklaracji domniemanego pełnomocnictwa „młodych” — w ogólności podziału pisarzy na walczące ze sobą obozy dwóch pokoleń wydaje mi się mocno podejrzany. Przyjmując na chwilę taką dystrykcję, szukam z drżeniem wycofania obozu „młodych”, ponad którym trzepocą sztandary nowych idei, szukam, nie zaglądając do wyciągów metrykalnych, ale do utworów nieledwie rozsądnych energią twórczą, pragnę tych „młodych” poznać po szczególnych znamionach gorących uczuć, po namietnościach niekiełżnanych, po przenikaniu od końca do końca ludzkości całych ogromów...

I trafiam na święty ogień rewolucji Żeromskiego, na światoburcze pociski Tetmajera, na żarliwe melodje Przybyszewskiego, Staffa, Kadena... Kto nazwał ich przedstawicielami ubiegłego stulecia, „starcami”, których należy przelecieć, „młodych” poznać po szczególnych znamionach gorących uczuć, po namietnościach niekiełżnanych, po przenikaniu od końca do końca ludzkości całych ogromów...

I trafiam na święty ogień rewolucji Żeromskiego, na światoburcze pociski Tetmajera, na żarliwe melodje Przybyszewskiego, Staffa, Kadena... Kto nazwał ich przedstawicielami ubiegłego stulecia, „starcami”, których należy przelecieć, „młodych” poznać po szczególnych znamionach gorących uczuć, po namietnościach niekiełżnanych, po przenikaniu od końca do końca ludzkości całych ogromów...

nać w ich stronę marmur, z którego wykuł zaczątek własnej wielkości?

Czemu żąda się dowodu żywotności młodego pokolenia w postaci buntowniczej walki z „wielkimi starcami” i rewolucyj pałacowych, a raczej żakowskiego wygrażania majstrom, których łatwiej prześcignąć, aniżeli doścignąć?

Więcej nieraz między nami zwątpień i znużenia, aniżeli w tamtych „z wieku dekadencji”. I nie lękajmy się hegemonji potężnych nazwisk...

...Ergo academia fiat. A jest konieczna. Literatura we właściwym polu działania może stać się taką samą silną dźwignią postępu społecznego, jaką była w Polsce przed niepodległością, — ale nato trzeba przywrócić jej pogwałcone prawa, nato trzeba chcieć jej do pomocy, nato do trzeba naprawić stanowisko moralne i materialne pisarzy. Potrzebny jest ośrodek ścisłej organizacji autorów i więz dyscyplinarna bodaj pozorne hierarchiczna, potrzebne jest urzędowe i faktyczne poparcie państwa, żeby stan pisarski w oczach najszerzego ogółu nabrał moralnego autorytetu. Takiej instytucji nigdy nie zastąpi związek, stowarzyszenie, sodalicia pod wezwaniem św. Solidarjusta, bo ani poważy ani funduszy, prawidłowo rozdzielanych, ani wpływów zabezpieczających spokój, niezbędny dla owocnej twórczości, nigdy zapewnić nie zdolają. Musi powstać akademja. Muszą wejść do niej najgodniejsi, najtęższe talenty i umysły. Dopuszczam myśl, że zaima niektóre fotele jednostki „powołane, ale nie wybrane”, pisarze, być może, mierni. I ten argument ma obalić pomysły założenia akademii literatury? Cel praktyczny i moralny projektowanej instytucji będzie osiągnięty i rozciągnięte swe dobroczynne skutki na ogół autorów, jeśli w senacie literackim zasiądzie bodaj pięciu sprawiedliwych...

Splendor akademika jest potrzebny dla zdobycia szacunku względem stanu pisarskiego śród masy czytelników i analfabetów, i niezbędny jest dla wywalczenia należnej pozycji społecznej (i jeszcze za życia pisarza), odpowiadającej funkcji kondensatora sił kultural-

nych kraju i umożliwiającej pracę w warunkach, które zapewniają maksymalną wydajność. Przecież nie o dziwne kariery literackie chodzi, ale o likwidację dotychczasowej moralnej i materialnej pauperyzacji literatów, o udokumentowanie troski o dobro piśmiennictwa polskiego i umieszczenie odpowiedniej rubryki w budżecie państwowym. Wiadomo: można być wybitnym albo mierzalnym pisarzem z palmą akademicką i bez niej. Niczego to nie obala i nie dowodzi.

Mojem zdaniem za wcześnie sztuka sekularyzowania pozbyła się szat uroczystych, które nie zmieniały jej istoty, lecz ułatwiał postępek, wpływ i rozwój. Wieszczowie i prorocy przy obecnym stanie umysłów mas należą do przeszłości. A zwycięzcy „cywilów”, choćby to byli giganci ducha, klepie się — panie dobrodzieju — po łopacie.

Nic to, że we Francji wielu najwybitniejszych nie należało do akademii. Nie weźmiemy złego przykładu... Znamy również wielkie nazwiska z akademicką palmą Francji. Nie sądzę, aby akademja literatury polskiej — jak obawiają się niektórzy — miała zahamować twórczość jednostek, które przedwcześnie spotka laur urzędowy. Jest to obawa, że może być „za dobrze”, i przypomina oklepamy pogląd nawet bardzo kulturalnych słońców, według którego poeta podobny jest do perłowej macicy, bez cierpienia bowiem, zawodów i zapoznania nie potrafi spłodzić perły literackiej.

Akademja niczyjej twórczości nie zaszkodzi, cenzury nie wprowadzi, ale tej twórczości pozwoli na lepszy rozwój. Nie stan pisarski akademii, lecz akademja pisarstw służyć będzie. A gdy „ja dekret do życia powoła”, n'e rzucimy się z nałogu do opozycji, pragnąc, by w życiu społeczeństwa odegrała godnie tę rolę, której spodziewamy się, i chyba tylko — na znak protestu — p. Wielopolska i mój dawny druh, znakomity Aleksander Wat (jeśli ich nie wyprzedzi „stary” Nowaczyński), położą wieniec na Mogile Nieznanego Pisarza. A potem wybierzemy ich do akademii.

DOM W KONSTANCINIE 1920-1925

Pamięci Stefana Żeromskiego

Była ziemia polska i mazowiecka, szeroko rozłożona brązowymi skibami pól od krawca do krawca widnokrepu, porastająca na piaszczystych wydmych i wzgórzach widelkami świerkowych zagajników i suchymi szczotkami ostów i mikołajek, ku niebu strzelająca złotorudem maszta sosen, a u brzozy strugi, na podmokłych łąkach, pleniąca się bladymi gwiazdkami wodnistej rzeżuchy, Zachlaskała błotem w zimnej brudnej jesieni, kryształowa, pusta i biała w rzadkie pogody zimy, wiosną odurzona wilgotnym czadem łąk i zapachem mokrych od soku wierzbowych witek, a latem szarżała od kurzu i upału

dze Hetman Żółkiewski. I jeszcze mówił Czarowic słowa pełne męki: „Na szczyt dochodzi się w łachmanach, z pokrwawionymi rękami i nogami, z sercem napojonym peknieniem...”. A ktoś — Judyń czy Koziecki — wzdrygał się w czarnej, błotnistej nocy Zagłębia.

„Żem prawie nie znał rodzinnego domu, Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi Przy blaskach gromu”.

„Żem był” — co za straszne słowo...

Żem był jak pielgrzym, i oto w nagrodę za dni tamtych wyrzeczeń, u końca drogi kamienistej i stromej — wyrósł na ma-

od kart rękopisu „Wiatru od morza” czy „Przedwiośnia”, stawał Stefan Żeromski do fizycznej pracy rzemieślnika.

Wesoła to była praca. Najprzód malowanie drzwi i okien białą olejną farbą. Potem już malowanie balustrady tarasu, parkanu w ogrodzie, drewnianej ławki koło młodego dębezaka.

Do Słoneczyna i do Skolimowa, do Obór i na maryniński wojenny cmentarzyk, którego granitowe żołnierskie groby uniesmiertelniały „Pomyłki” Stefana Żeromskiego.

Któż zresztą nie pamięta bolesnej elegji „Pomyłek” i nie czytał, jak to „samo” — trzeć wyprawiali się w kraje nieznane...

tały po dusznych od lekarstw pokojach w chaosie beznadziejnej a koniecznej krzątaniny.

I tylko z ogrodów i z sąsiednich posesyj banwy, kwietne zapachy i ptasie świergoty przenikały przez okna otwarte do uszu i oczu konającego moczara.

I tylko czasami, w rzadkich godzinach wytchnienia od mąk i chwilowego przypływu sił, chodził Stefan Żeromski wolno i majestatycznie, wsparty na doktorze i pielęgniarce, po iglastych ścieżkach własnej siedziby.

Patrzył bolesnymi płomieniami w głąb czaszki zapadłych oczu na drzewa i na krzewy, na nowe pędy i na usychające liście.

Zamku. Wokół blaszanego krzyżyka zdjętego z ołtarza, przed którym mała córka nie wymodliła tatusiowego zdrowia, zaplotły się skostniałe blade ręce węzłem gordyjskim, którego nikt nigdy nie rozwiąże.

Niepojęta a nagła, niezrozumiała i potworna, nadeszła śmierć.

Kiedy na drugą wiosnę wiatle zielonkawie łodygi kluczyków rozstuliły swe kwiaty w wilgotnym wąwozie i wilga poczęła wygłazywać melodie na drzewach ogrodu, dom w Konstancinie stał pusty i samotny, strasząc przechodniów bielmem zamkniętych okien.

Jako depozyt najcenniejszy, dostojna



Dom w Konstancinie

i pod stopą chrześzcząca złotem i srebrem kłosem.

Było także wpośród tej ziemi gwarne i pospolite letnisko; ale o letnisku trudno jest mówić dużo i ozdobnie. — Cóż, że wżerało się coraz głębiej drucianymi kłatkami posesyj w cienisty zielony gąszcz i że w nieskończoność biegnę nudnymi trasami alej?

Czemby dla nas było owo letnisko, gdyby wśród jego domów nie stał ten właśnie dom? — Dom był prosty i biały, jasny

zowiekiem piachu dom jasny i biały, prosty a słoneczny, otwartym tarasem podany ku wschodniej stronie.

Nie wiem, którego to jesiennego dnia z tarasu tego Stefan Żeromski zobaczył po raz pierwszy koronę sosny kołyszącą się wysoko w niebie i patrzył „z upojeniem przez okro rozwarte w zgnatwaną pustkę ogrodu i widział na jawie nieistniejący jego uśmiech, którym się dla niego miłostkowie nie na tę jedną chwilę przyodział” („Wilga”).



Ostatnia fotografia Stefana Żeromskiego z córką, na werendzie domu w Konstancinie

A potem przyszła wielka i trudna sprawa sprzętów. Każdego krzesła i każdej szafki musiały się dotknąć pracowite ręce gospodarza — zmocować, ozdobić, odświeżyć. Z jaką prostotą pędzel i młotek zastępowały w takich chwilach wspaniałe twórcze pióro. — Te sprzęty stoją przecież dziś jak świadki. Można tam wiele dojrzeć w gładkiej powierzchni własnoręcznej wypokostowanego stołu, w lakierowanych poręczach krzesła, można iść śladami tamtych rąk wąskim traktem bawelnianej torsadki, od gwoździka do gwoździka wbijanego w czerwony plusz; zamysłać się gorzko wobec ukochanych książek biblioteki.

A całą bibliotekę, poszarpaną zeszitymi napełniającą proste drewniane półki, trzeba było wyporządkować i ogarnąć, kleić teckiz z kolorowego papieru na setki ciekawych broszur i pism, książki stroić w niebieskie i czerwone grzbiety opraw.

Na to wszystko znalazł się czas i ochota; i tak w zimowe ciemne wieczory, kiedy wiatr tłukł w okienne domy, zamieniali się w pilnych introligatorów: ojciec i córka.

Nic nie było z wielkopańskiego gestu posiadacza, z rozrzućności bogatego właściciela, w tych pracowitych wysiłkach, w tych drobnych a mrowczych zabiegach wielkiego pisarza, owianych najpromienniejszą poezją prostej a dostojnej skromności.

Nacoby się zdała opłacona pomoc, bogactwo mebli, gwar służby — kiedy rozkosz było wbić każdy gwoźdź w kochane ściany i samemu wieść na nich własnoręczne oprawione fotografie i ulubione reprodukcje?

Szczepił drzewek owocowych podarował z pobliskiej Samotni gospodarz nad gospodarze, znakomity krytyk i esteta — Miriam.

Cóż to była za radość z tego sąsiedzkiego daru, z tych wątlutkich płonek, pieczołowicie i ostrożnie sadzonych w piaszczysty a użyzniony uprawą grunt. I jaka była duma, gdy rosły i kwitły podlewane i podpierane uważnymi rękami, pieczołowe wzrokiem płomiennych oczu, pełnych miłości i zachwytu.

— Ho, ho, nos pon Żeromski — to je gospodarz — przyświadczał z uznaniem stary stróż Kępka, dzielny pomocnik i wykonawca gospodarskich planów, przysiadłszy na murku pod sztachetami ogrodu.

A ogród się plenił, rozrastał i kwitł. A dom rósł w wewnętrzny dobytek, rozbrzmiewał od dziecięcego pogwaru, nad wielkimi myślami i wielkimi dziełami opiekunów rozciągał czerwony dach.

Z jego ciepłego serca różne drogi prowadziły w głąb mazowieckiej okolicy: drogi radosnych spacerów, drogi zamyślnych wędrówek, drogi poszukiwań i drogi powrotów. Te bliższe i te dalsze... Na krzaczasta, piętrząca się garbami wzgórz Grapę, rozklaskaną w maju od słowiczych gwizdów, i na łąki w dole niziutko nawisłe, pełne fiołkowych irysów, welnianek i żab; wawozami, które wiosną owiewa biała mgła kwitnących tarnin, przez proste szerokie aleje radwiślańskich topoli i pod lipy, pachnące na skrzyżowaniach miedzy.

Nad mełne gliniarki cegieli, w których przegładają się topuchy i osty zarosłych rozpadlin, na wzgóreczki suche a żywiczne, i na rozległe łąkowce polany, brzegiem wąskiej a wartkiej Jeziorki — do bliższego lasu pełnego szyszek, suchych igieł i zapachu i do lasu dalekiego, kryjącego w swej wilgotnej głębi trujące storczyki, błotne mokradła i węże.

wielki pisarz, ciemnowłosa ukochana dziewczynka i wierny hafaśliwy Puk.

Tak było... Ranki różowe od słońca, południa topliwe od skwaru, zielonozielone przedwieczera, pełne chłodu i woni, i księżyc nad wodą pośród sinego nieba. Rude kity rdestu, lakierowane żółte blaszki jaskrów, polne róże owinięte jedwabiem różowego kwiatu, spłwiałe strzępy bławatków i gorycz jesienna twardych jagód berberysu, tarniry i głogu.

Zapachy, kształty i wonie przetapiane z królewską hojnością w beczenny kruszc najwspanialszych słów. Myśli promienne i porywające, co się rozdziły na zasnutym ciemnością wieczoru tarasie w rytm kroków, w zadumanych wędrówkach tam i z powrotem, tam i z powrotem.

I może z tego wszystkiego wynikłe szczęście wytchnienia, szerokość swobodnego oddechu, ucieczka przed zmorą śmierci, przed przekleństwem bezdomności, przed losem czyhającym za parkanem własnego domu, u którego mała córka uśmiechała się dziecięcymi ustami.

„Złóż Twoją główkę owianą przenajdroższymi włosami na mojem strudzone sercu. Niech jeszcze przez chwilę spocznie u naszych nóg wierny pies, przyjaciel, który nie zdradzi ci miłuje. Wytchnijmy jeszcze na tym wzgórku, nim przed błyskiem i kamieniami gradu uciekać będziemy. Nasyćmy się jeszcze przez małą chwilę szczęściem istnienia, rozkoszą życia, pięknoscią trwania. Będę jeszcze przez chwilę patrzył twymi dziecięcymi oczyma w bożego skowronka. Będę jeszcze przez chwilę słuchał twojemi uszami głąbi pieśni, gdy pono „śpiewa ziemi pieśń o niebie”.

Niech bije razem nasze, moje i twoje, nic niewiedzące serce dziecięce. Śpiewaj skowronku! Wśląd za twem wieszczem ciałem, co jak grot strzały wyleciało z ziemi, niech leci w niebo nasz nieulekły nakaz, który odrzucamy Bogu.

Odrzucamy w niebiosa ten nakaz w gromach i drzeniu ziemi ludziom rzucony: „Nie zabijaj!” („Pomyłki”).

„Nie zabijaj!” — A śmierć czekała już u proga konstancińskiego domu; całe tragiczne lato i całą długą jesień chodziła pod szerokimi oknami sypialni i bała się wejść do środka.

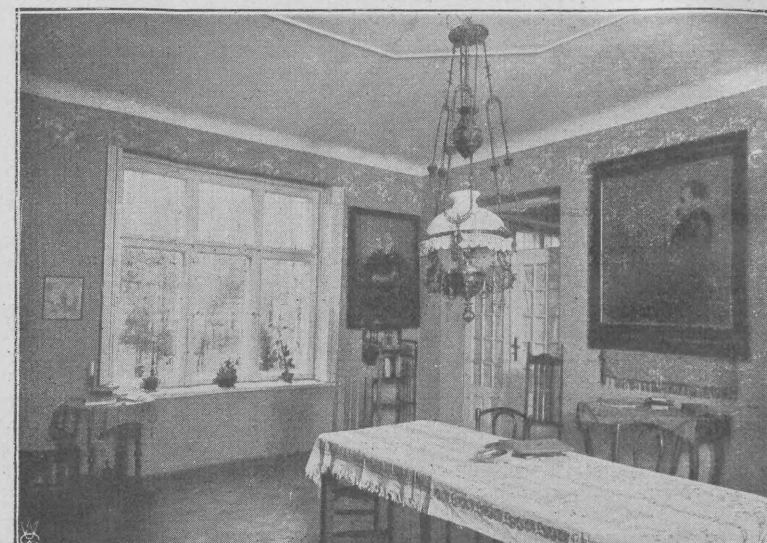
Trzęsły się wtedy od jęków sosny posesji, owocowe wiatle drzewka dygotały z lęku, i nisko kurczyły się przy ziemi kwiaty sadzone opiekunów ręką gospodarza.

W jasnych pokojach własnego domu, w oparce lekarstw i eteru, wśród balonów tlenu i butelek narkotyków, tragicznych i zdyszanych pośpiechów, trwożliwych i tyśacznych zabiegów, — umierał Stefan Żeromski.

Potężna, wieszcząca, tragiczna głowa, odwalona wyl, wysoko, na biel poduszek, ręce mocne i czujne, ręce ciepłe i twórcze, bezzilnie zagubione w faldach koldry, i oddech chrypliwy, oddech zduszony, wstrząsający szybami okien. Wpółprzymiotna od rozpacz krzątaniny żony, błagalne modlitwy małej córki przed ukwieconym ołtarzykiem, mądre a bezzilne, celowe a zbędne wysiłki oddanych i szlachetnych lekarzy.

I ten jęk, krzyk straszliwy, od którego truchleje serce.

Tego lata i tej jesieni żadne drogi nie prowadziły z umierającego serca domu w głąb okolicy, wszystkie opłoty się ciasno naokoło białych ścian, rozpaczliwie drep-



Pokój stołowy w domu w Konstancinie

I mówił:

— Tu trzeba nawieźć grunt.

Mówił:

— Tę jablonkę trzeba zaszczyć.

Mówił:

— Ten klomb trzeba skopać.

Temi słowami się żegnał.

A kiedy zachodzące słońce późnego lata zalewało pokój krwią czerwonych promieni, szeptał głosem zduszonym i przerywanym, z trudem dźwigając głowę ku oknu:

puszczna, skarb polskiej myśli i twórczości pozostały w zamkniętej bibliotece: rękopisy perłace się przeszlicznym piśmem wielkiego pisarza, teki recenzji, pamiętniki, listy... Wszystko co sam stworzył przez długie lata swego pracowitego życia, wszystko co o to życie zaczęło się bodaj drobnym świstkiem obojętnego listu, bodaj słowem krytyki, — zebrane pieczołowicie pozostało w tym domu.

Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość uczuciową, co cieszyło oczy, uprzy-



Cmentarz wojenny w Maryninie opisany w „Pomyłkach”

— Chciałbym... żeby... było ładne oświetlenie... kiedy będę umierał...

Całe lato i całą jesień chodziła śmierć pod oknami konstancińskiego domu, który chronił, bronił i nie dopuścił.

Musiła odejść — choć na krótko.

Złota jesień i w radosny dzień imienin — drugiego września, wśród setek powinnowań i kwiatów i jeszcze później, na ganeczku w czerwieni dzikiego wina i przyniesionych z lasu jagód głogu, — zapalały się jak lampa świetlista pierwsze

jemniało życie, — ca'y skromny w sprzęty a bogaty w czynny dobytek.

A: „Willa w Konstancinie w żadnym wypadku nie powinna być sprzedawana, ażeby córka moja mogła mieć schronienie na świecie”. — Oto są słowa z za grobu, testamentem przekazane potomnym.

Więc nigdy chyba nie zniknie z powierzchni mazowieckiej ziemi — ten dom kiedyś promienny od myśli i słów gospodarza a dziś beznadziejny i smutny tęskno-



Taras domu w Konstancinie z opustoszałym fotelem Żeromskiego

uśmiechy rzekomej rekonwalescencji.

Złotliwe osy brzęczały nisko nad słodczą jesiennych owoców. Ale nikt im tego nie bronił — nie odganiał. Zapędy rąk trwożliwych, broniących od żądał wsparcia na poduszki głowy, uspokajał cichy, w głębi piersi grający głos:

— Ach, poco?! Dajcie im żyć! Nie trzeba niszczyć życia.

Wroga, który się ulął białych opiekunów ścian własnego domu, nie zatrzymały światne podwoje królewskiego

ta tych, co zostały. Zawsze będzie hucało koło niego pospolitym gwarem letnisk obojętne i beztroskie — jak świat. A w drzewach ziemi pachnącej, w pulsowaniu i oddechu polskiej przyrody zamieszka na wieczne życie płomienne, tętniące serce Stefana Żeromskiego.

Hanna Morkowiczówna.

W drugą rocznicę śmierci,
dn. 20 listopada 1927 r.



Sad owocowy przy domu w Konstancinie; między drzewami córka pisarza

a słoneczny, otwartym tarasem podany ku wschodniej stronie i głęboko wrosły fundamentami w pachnący suchy piach, pomiędzy węzłowate rozrosty sosnowych korzeni.

A któregoś jesiennego dnia 1920 roku na tarasie tego domu stanął po raz pierwszy ten, który tu miał mieszkać, — wielki człowiek, Stefan Żeromski.

Ktoregoś jesiennego dnia dom ten miał szczęście zamknąć opiekunów w swych białych murach życie ogromne i twórcze a

Ale tak myślę, że za tym pierwszym razem zauważył bystre oczy futryny niepomalowanych okien, czerwien nietynkowanych ścian, ziemię nieskopaną i płot potrzebujący naprawy i tę całą pracę gospodarza, madra i wytrwałą, którą temu domowi poświęcił.

Wielką część tragicznego życia zatrzasnęła się jak wieko trumny nad głową ukochanego syna, a oto własny dom otwierał gościnie szerokie drzwi; zgwał płomień synowskiej miłości, a oto zapaliło się o-



Wnętrze biblioteki w domu w Konstancinie

stargane od nieszczęść i miał ciepłym swem kość przez los zadane rany.

Ktoregoś dnia stał się za sprawą tego domu akt sprawiedliwości, zadośćuczynienie za trudy i wysiłki długich lat, „Człowiek bezdomny” po tulaćwie swego twórczego życia, z krucjaty duchowych zwycięstw i osobistych klęsk, z wędrówek bez wytchnienia i bez odpoczynku przyszedł tu, by nazwać swoim jeden kąt na ziemi.

„Ujmę miecz, nie pożałuję zdobytej sławy, nie zapłacę za szczęściem dobrego bytu...” — wołał w przedśmiertnej trwo-

grisko rodzinne chronione białymi rękami ponad wszystko ukochanej kobiety, wśród ścian, na których po wielokroć zawisł portret smutnego umarłego chłopca, skakały smukłe nóżki ciemnowłosej dziewczynki, radości ojcowskiego serca. A mury były nietynkowane, i trzeba je było bieleć, a ściany prosiły się o kolorowy szlak tapet, ziemia ogrodu o uprawę, a płot o podpórę.

I tak się zaczęła ta radosna domowa krzątanina, gospodarska robota.

W chwilach wytchnienia od twórczej pracy, w godzinach wolnych od pisania,

Odpowiedzi na ankietę „Wiadomości Literackich” Co zawdzięczają pisarze polscy literaturom obcym?

Mieczysław Braun

Literatura obca przekonała mnie, że dusza ludzka jest jednorodna, na różny bowiem łańcuch i we wszystkich czasach pisano jednakowo o sprawie człowieka. Literaturze zagranicznej zawdzięczam poczucie łączności z rodziną pisarzy, i odpowiedzialność za słowo poetyckie, i radość wzajemnego zrozumienia. Uczyniłem te odkrycia, rozkoszując się natchnioną liryką Puszkina, czułem erotykami Heinego, fragmentami „Vita nuova” Dantego (tę książkę, idealnie spolszczoną przez Artura Górskiego, uważam za jeden z najpiękniejszych utworów świata), — myślałem o tem, wzierając się na trudne wyżyny Verhaerena i czując bicie serca przy wierszach Rimbauda i Błoka...

Wychowała mnie — obok polskiej — wielka poezja rosyjska. A jednak nie zruszylikałem mnie „Jeździec brązowy”,

gdyż zbyt silnie tryskały źródła twórczości u nas, w ojczyźnie poetów - gigantów.

Moja ulubiona książka winna składać się z tysiąca, a może setki, albo ledwie kilku kartek, wyjętych z przeróżnych książek. W mgławicowym stanie współczesnej literatury światowej, z której dopiero wyblęśnięcie słońca, trudno wskazać poszczególnego — specjalnie adoptowanego pisarza, kiedy najwyższą działalność ujawniają grupy — gwiazdozbiory.

Muszę dodać, że literatura obca podnieca mnie kolosalną perspektywą świata, z bogactwami światła i barwą, ale jednocześnie uświadamia, że dano nam pracować na krótkim odcinku nieskończonej przestrzeni. Mimowoli budzi się żądza zaborczości — i to jest jedyny imperializm, który uznaje.

Władysław Broniewski

Wpływ literatury na życie i twórczość jest tak duży, że trudno załatwić się z nim w kilku słowach. Trzeba by poprosić wyliczyć wszystko co się czytało w kolejnym porządku, aby zdać sobie sprawę, jak powstało całe dzisiejsze „ja”. Ograniczę się więc do momentów najcharakterystyczniejszych, Cervantes, Ariosto, Andersen — to pierwsze moje (w ósmym roku życia) spotkanie z poezją, pierwsze drogi wyobraźni. Kto wie, czy pisarzem tym nie zawdzięczam w całem późniejszym życiu zdolności do poetyckiej apercepcji świata. Naprawdę wpływała na mnie tylko poezja, przede wszystkim polska, z obcej zaś Szekspira, Baudelaire, Rimbaud, Blok. Jeszcze w okopach przeczytałem „Ogień” Barbuse’a; książka ta dopomogła mi do wyzbycia się romantyczno-militarnych blagi poetyckiej i popchnęła w kierunku poszukiwań poezji nieoderwanej od praktycznych zagadnień bytu. Duży

ślad pozostawiła we mnie lektura Stirnera, Nietzschego, Guyau. Później Sorel (i Brzozowski). Z beletrysty najbliżsi mi są France, Rolland, Dostojewski, Conrad. Najsilniej jednak oddziaływała na mnie poezja nowoczesna, zwłaszcza rewolucyjna poezja rosyjska. Majakowskiemu zawdzięczam ostateczne zerwanie z symboliczną starzyzną i stosunek do słowa jako do narzędzia walki. Apollinaire’owi — nowe drogi wyobraźni. Jesieninowi — ostatnią furtkę w kierunku tragizmu i czystej liryki. Niewątpliwie, we współistnieniu tych wpływów tkwi wiele sprzeczności.

Moja ulubiona lektura jest „Don Kichot”, poezje Szekspira, Apollinaire’a, Jesienina i Pasternaka, oraz dzieła Lenina (dopiero niedawno zapoznałem się z twórczością tego wielkiego poety faktów).

Z żyjących pisarzy najbardziej cenię poetę Pasternaka.

Roman Dyboski

Ja naturalnie śpiewałbym przede wszystkim pochwały literatury angielskiej, co zresztą stałe czynię we wszystkich moich publikacjach. Za najwyższe i w obecnym stadium naszego narodowego życia duchowego najaktualniejsze jej walory uważam walory nietylko literacko - artystyczne, ile moralne i o-

bywatelskie (o ile wogóle w prawdziwie wielkiej sztuce w ten sposób treść od formy oddzielać można).

Ze współczesnych autorów angielskich najwyżej cenię sędziwego Thomasa Hardy, niestety — u nas nieznane go prawie zupełnie.

Józef Kallenbach

Literaturze obcej zawdzięczam bardzo wiele, zwłaszcza literaturze greckiej i łacińskiej. Niepodobna wymienić tu wszystkich wielkich autorów. W młodości me (t. j. w latach 1800 — 1890) wiele pobudki twórczej doznałem od Sofokles i Anakreonta, Lukrecjusza i Owidiusza, od elegików rzymskich, od Horacego i Tacyta.

W studiach zaś historyczno - literac-

kich bardzo wiele podnety otrzymałem od Wundta i Ribota, od Brunetiére’a, Fagueta, V. Girauda, a także od mistrzów tej miary, co Taine i przed nim Sainte-Beuve.

Ulubioną moją lekturą są staropolskie pamiętniki, kroniki i listy; przede wszystkim zaś listy Słowackiego i Krasińskiego. Takich listów niema w żadnej literaturze świata!

Juljusz Kleiner

Stosunek do literatury obcej jest u mnie zasadniczo określony typem pracy naukowej. Twórczość polską badam zawsze na tle literatury światowej — i tylko na tem tle dążę do ujmowania zagadnień ogólnych. Tak samo, jak jednociągła organiczna jest literatura narodowa, tak samo — i niekiedy nawet w wyższym stopniu — jednociągami organicznymi są literatury zgrupowań kulturalnych (np. literatura renesansowa). Stanowią one — rzeczy można — w schematycznej mapie ogółu zjawisk literackich system linii poprzecznych, gdy drogi literatur narodowych składają się na linie czy przekroje pionowe. Dopiero skrzyżowanie się obu systemów wyznacza miejsce właściwe autorowi czy dziełu.

Jednocześnie zmierzam według sił do tego, by poznanie twórczości polskiej korzystało w pełnej mierze z metod, pojęć, wysiłków, zdobytych przez naukę światową. Stąd znaczenie, jakie w toku prac moich mieli pionierzy metodologii odrębnej nauk humanistycznych z Diltheyem na czele.

Sądzę przeto, że kultura narodowa zrozumieć może należycie ten tylko, kto bezpośrednio zetknął się z jedną przynajmniej kulturą obcą, — i że literaturę naro-

dową badać i oceniać może ten tylko, kto w pełni odczuł i przeżył przynajmniej jedną jeszcze literaturę innego narodu.

Żywe zajęcie się literaturami obcymi zaczęło się u mnie dosyć wcześnie. W szkole średniej dał mi w tej mierze podniecie silną prof. Emil Petzold — w okresie uniwersyteckim zawdzięczałem niezmiennie wiele prof. Ryszardowi Marjarowi Weinerowi. Wymienianie autorów i książek, ważnych w kształtowaniu się poglądów i w zakresie badań własnych, musiałoby u badacza literatury urosnąć w listę obszerną. Wspomnę więc tylko o tych, z którymi poza okresem zainteresowań estetycznych i poznawczych wiązałem się — przyczyn różny — bliższy jakiś stosunek „osobisty”.

Jeszcze w czasach gimnazjalnych stali mi się bliscy Platon, Lenau, Novalis, Schiller i w pewnej mierze Maeterlinck; polubiłem też Rostanda za „Cyraną” i za „Romanesques”. Później przychodziły momenty zafascynacji z Dickensem. Z dziś szczególnie bliskich wymienić muszę „Dzięką kaczce” Ibsena, „Wahlverwandtschaften” Goethego, „Le crime de Sylvestre Bonnard” France’a, „Tunel” Kellermanna i niektóre ustępy Alfreda de Vigny. Wśród autorów współczesnych najbliższy jest mi Romain Rolland jako autor „Jana Krzysztofa”.

J. K. Kochanowski

Nigdy i żaden z autorów obcych — poza Dantem — nie oddziaływał na mnie tak silnie, jak pewne zwłaszcza działy twórczości zapomnianego dziś J. I. Kraszewskiego (powieści historyczne, a zwłaszcza „Stara baśń”); skoro jednak mam wskazać cudzoziemca, to niechaj będzie nim niezrównany Honoré Balzac oraz — ostatnio — Jack Lon-

don. Z myślicieli najbardziej może pociągał mnie niegdyś Arthur Schopenhauer; o wiele jednak bardziej to co przypisywane jest Sokratesowi. Ulubionym pisarzem historycznym był dla mnie Wilhelm Giesebrecht, u nas zaś Stanisław Smolka i misterny mediewista, Tadeusz Wojciechowski.

Stanisław Miłaszewski

Z autorów współczesnych zajmują mnie teraz najwyżej Paul Claudel i Charles Peguy, bo w dziełach ich znajduję harmonijne skojarzenie wybitnych umysłów ludzkich z prawdą wieczystą i jedyną, której wyrazicielem jest kościół katolicki.

Współczesnemu piśmiennictwu obcemu zawdzięczam przede wszystkim bez-

cenna sposobność do przyswojenia językowi ojczystemu niektórych utworów W. v. Heidenstama, J. Moréasa, J. A. Rimbauda i J. Zorrilli.

Moje ulubione książki: „Wyznania” św. Augustyna, „Boska komedia” Dantego, „Ryszard III” Shakespeare’a, „Don Quijote” Cervantesa.

Zofja Nałkowska

Znajomości literatur obcych zawdzięczam głębokie moje przeświadczenie o bliskości międzyludzkiej, o pokrewieństwie, nawet o tożsamości całych rozległych światów ducha. Zawsze uderzały mnie bardzo podobieństwa aniżeli różnice.

Literatura obca nie fascynuje mnie swą odrębnością, swym elementem egzotycznym. Zato radością, doskonałą radością jest dla mnie ujawniająca się poprzez nią bliskości ludzi dalekich i nieznanych. Przecież nie zobaczę go nigdy, tego człowieka, nie znam jego domu, ani jego ulicy, ani ogrodu, nie znam jego miasta i kraju — a oto doznaję wobec niego owego bezennego dreszczu porozumienia, widzę, że zajmuję go w człowieku lub w nim samym to właśnie co najbliższe jest i mnie, że jego stosunek do zagadnień techniki pisarskiej, problemu formy, słowa i treści jest jakby wydarciem mi mej własnej tajemnicy, której jednak nie poznałabym bez niego, że jego postawa wobec spraw świata jest nadaniem wyrazu mym własnym pasjom lub zamyśleniom.

Ani Stendhal lub Flaubert nie był mi nigdy kluczem do zrozumienia duszy francuskiej, ani nie miałam, że, poprzez księgi Dostojewskiego poznaję duszę rosyjską. Wcale nie. W twórczości ich znajdowałam tylko te rzeczy najważniejsze: pochylenie się nad duszą człowieka i przeniknięcie w jej głąb.

Wacław Rogowicz

Trudno jest mówić pisarzowi, jak oddziaływała literatura obca na jego twórczość i co jej zawdzięcza, jeśli idzie o wpływy, bo to sprawa niejako analizy spektralnej własnego dzieła: kompetencja będzie tu zawsze zakwestjonowana, a szczerze wzbudzi podejrzenia. Natomiast, jeśli idzie o skłonności i upodobania, tu są subiektywne jest jedynie powołany do zabrania głosu. W tym sensie z literatur obcych najwyżej zawdzięczam francuskiej. Ona mi dała ugruntowanie w sobie tendencji własnych, dających w kierunku trzech najistotniejszych źródeł twórczej myśli francuskiej: wszystko przez człowieka (indywidualizm), wszystko dla człowieka (humanitaryzm), wszystko na miarę człowieka („le bon sens”). Inaczej: terencjuszowskie „homo sum i t. d.”

Teraz mogę wymienić swe ulubione książki. A więc „Essais” Montaigne’a, „Myśli” Pascala, korespondencja Flauberta, „Na białym kamieniu” France’a, moim zdaniem książka, mająca największe szanse przetrwania z całego dorobku tego najemniejszego chrześcijanina wśród oświeconych pogan Europy ostatnich lat kilkudziesięciu. „Okrutne opowieści” Villiers de l’Isle - Adama i „Colas Breugnot” Rollanda należą dla mnie również do tych książek, które, odwróciwszy znany aforyzm Wilde’a, warto było przeczytać pierwszy raz, ponieważ warto je czytać po raz drugi i trzeci. Przypomnę, że „Jana Krzysztofa” nie mogłem zmordować do końca, tak samo jak utknałem na drugim tomie „A la recherche du temps perdu”. „Być może, wielki pisarz, — ale do czytania cholera” — określił Prousta z właściwą sobie dosadnością autor „Chłopów” w rozmowie ze mną na kilka miesięcy przed śmiercią. Podzielać irytację Reymonta: trudno, nie potrafię czytać francuskich okresów, zajmujących półtorę strony bitego druku.

I najbardziej cenię ze współczesnych pisarzy Cendrars (znowu kwestja upodobań i gustów...) Jego „L’or” uważam za skończone arcydzieło zwieźłości i harmonii między kompozycją a „s’vlem”. Cenię poza nim Moranda, zwłaszcza jako autora „Bouddha vivant”, i bardzo mnie zaciękał „Montherlant, jego dalszy rozwój. Właśnie świeżo przeczytałem „Aux fontaines du désir”. Warjacka książka — ale jaki tegi pisarz. Brawura przypomina mi Słonimskiego, tego najwybitniejszego felietoniste i poetę w jednej osobie w dzisiejszej Polsce. Zresztą dusze tak do siebie niepodobne. Nic nie szkodzi, a nawet... tem

Tadeusz Sinko

Jako filolog klasyczny nie mogę do obcych zaliczać literatury greckiej i rzymskiej, którym zawdzięczam najwybitniejsze podmioty intelektualne i najsilniejsze wzruszenia estetyczne, — a muszę ograniczyć się do literatur nowożytnych. Otóż gimnazjum małopolskie, oparte na dobrych metodach austriackich, wprowadziło mi w literaturę niemiecką. Obfita lektura szkolna, uzupełniana domowem czytaniem moderny niemieckiej z lat dziewięćdziesiątych, spłynęła po mnie jak deszcz jesienny, nie budząc żadnego życia. Mimo to zachowałem ogromną wdzięczność dla literatury niemieckiej za to, że jako magazyn wszelkich przekładów stworzyła mi drogę do literatury światowej. Waleśając się po niej, znalazłem odpoczynek dopiero w literaturze francuskiej. Ona mi uświadomiła w całej pełni, że to co uważałem za niepowrotne stracone, wraz z Grekami i Rzymianami, żyje do dziś i czeka właśnie w wytworach ducha galijskiego. Rozkoszuję się sceptycyzmem Anatola France’a, diwnizyjską afirmacją życia w „Colas Breugnot” Romain Rollanda, platońska dyalektyka Valéry’ego działają na mnie tak, że czytając ich dzieła, mimowolnie transponuję ich zdania na grekę czy łacinę: tak mi brzmią klasycznie, swojsko.

Nie będąc beletrystą, nie korzystam

Gdy staram się myśleć o tem ściślej i sumiennie, to wiem napewno, że największym dobrem literatury świata jest właśnie to: *współność* osiągniętych szczytów, równoległość ich dalekich dróg, straszliwa radość porozumień i nieskończona *podzielność* własnych skarbów.

Może najbliższa kiedyś, w dzieciństwie i młodości, była mi literatura północna, później zaś francuska. Były to jednak raczej uwielbienia osobiste, przywiązane do poszczególnych mistrzów, nie do krain.

Myślę też, że „oddziaływanie” jest to jednak budzenie, uświadamianie i precyzowanie rzeczy przedtem gotowych, przedtem możliwych we mnie.

Pierwsi więc moi mistrze — to Arne Garborg, Ibsen i Hamsun — na długo. Potem Stendhal, Flaubert, Proust — pisarze duszy cudzej. Z Anglików najbardziej zbliżył się do Meredithem i Georgem Moorem. Niemców znam tylko z przekładów — kiedyś bardzo intensywnie żyłam w świecie Heinricha Manna.

Blisko przebywałam jednak głównie z pisarzami współczesnymi. Poza Szekspirem, którego „Hamlet” był mi przez długie lata niewypitem morzem zachwytu i mądrości.

Z autorów dziś żyjących może jednak aż dotąd największy jest mi Hamsun. Z młodszych — Gide. Szczególną pasję mam też do Mauriac’a i Giraudoux.

lepiej. Tak się składa, że najbardziej przypada mi do gustu śród młodych pisarzy francuskich trzech nieuleczalnych obywateli: Cendrars — Morand — Montherlant.

Teraz słówko o intelektualnych ociepleniach na tamtą stronę Renu, via Curtius, Keyserling. Zaszczepianie metafizyki mongolko-germańskiej pokoleniu powojennym pisarzy Francji przez pisarzy przedwojennych (Gide, Rolland) nie idzie mi do głowy. Zresztą sami mistrzowie zdradzają swą ideologię czy może pseudologię na rzecz najlepszych bo uczuciowych tradycji ducha francuskiego. Proszę przeczytać zdumiewającą książkę Gide’a „Voyage au Congo” (dalego zdumiewająca, że Gide’a), a potem różne utalentowane bernanosy, usiłujące wdeptać w błoto pamięć France’a, odczytując sobie ustęp o kolonijach i metropoljach z „Sur la pierre blanche” tego wielkiego „zgnila”, odczytując bez „raży”, z którą wam mistykom... nie do twarzy!

Światło, padające na jakiś przedmiot, rzuca cień. Może pomówię i o cieniach, o wkleślej stronie medalu, czyli, kogo nie lubię, kogo nie znoszę z dawnych pisarzy, bo współczesnych, gdy mi nie smakuja, oszczędniej szafując swym czasem niż dawniej, nie czytam, to znaczy nie doczytuję książki do końca. Na szczęście nie jestem krytykiem, mogę czytać tylko dla siebie. A nie trzeba przecież wydoić całej butelki wina, żeby poznać się na jego smaku, na tem, że to jest zwykły sikacz. Wystarczy kieliszek.

Ale ankieta nie pyta, kogo nie znoszę, czego nie trawię. Więc nie będę mówił o repoussoirach. Zresztą implicite coś już o nich powiedziałem.

Muszę jednak wyznać, — za zezwoleniem redakcji, — że nie umiem przejmować się wyrachowaną szczerością pisarzy typu „serce na talerzu”. O kim mowa?... No, o takich frantach — forantach, jakim był np. imię pan François Coppée, którego genialny sztyderca Villiers położył na obie łopatki straszliwym knock-outem: „Donnez lui de l’argent puisqu’il aime sa mère!”

Głośny pisarz polski, ofiarując mi niedawno swą książkę, rapisał w sutej dedykacji m. in.: „Francuzowi, co się między Sarmaty zabłąkał”. Niebezpieczny epitet w Polsce. Pachnie prawie zdradą „czerepow rubasznych”.

Może ma i racja...

z ich podniet literackich. Natomiast naukowa proza francuska otworzyła mi oczy na to, jak z pod piaszczystych gór przyczynków wydobywa się żywe rolny artystyczne i jak się ich piękność uprzysięgnia t. zw. szerszej publiczności.

Z G. Boissierem wędrowałem po terenie poezji Wergiljusza i Horacego, z M. Bréalem uczyłem się „lepiej znać” Homera, z E. Fagueta wstępowałem do akademii platońskiej jako do przybytku ichu wiecznej mądrości. Porównując ich dzieła popularne ze ściśle naukowymi opracowaniami tych samych przedmiotów przez Niemców, przekonałem się, że francuska prostota i łatwość w ujmowaniu problemów łączy się doskonale z głębokością, francuska jasność jest wynikiem domyślenia każdej sprawy do końca, francuska lekkość płynie z wirtuozijnego opanowania treści i formy. Tak lekko chodzą i tańczą tylko ci, którzy całe lata ćwiczyli się w krokach, skokach i wygięciach, a nado mieli już wrodzone zdolności do tańca. To też, gdy obecnie zabieram się do spisanie swych trzydziestoletnich studiów nad autorami greckimi w dwutomowe „Dzieje literatury greckiej”, mimowolnie podnoszę wzrok ku Lansona „Historji literatury francuskiej” jako ku ideałowi tego rodzaju opracowań.

Zofja Kossak-Szczucka

Wogóle zacząłem czytać bardzo wcześnie. Mając dziesięć lat znalazłem już Mickiewicza lepiej, być może, niż niejednego obecnego maturzystę. Całe dzieciństwo i młodość czytałem dużo, pochłaniając książki polskie i francuskie, zarówno beletrystykę, poezję, jak poważne. Były to wszystkie rzeczy wartościowe, bo lichoły w domu nie trzymano, lecz czytałam je bez planu, dość chaotycznie. Co z tego nawału zostawiło ślady na mojej umysłowości i jakie, — trudno byłoby mi określić i rozpoznać.

Zamiłowaniem do historii zawdzięczam przede wszystkim Sienkiewiczowi (którego „Trylogja” była dla mnie rodzajem objawienia) i Kubali, — przyczytniły się także: „Wojna i pokój” Tolstoj’a oraz nieporównana, ciekawsza od powieści Dumasa „Histoire populaire de France”.

Pozatem jednak szczerze mogę powiedzieć, że w dziedzinie działalności literackiej nie zawdzięczam obcym n.c. Zawsze najsilniej przemawiały do mnie książki polskie, co znaczy nie dość, że

pisane po polsku przez Polaków, lecz istotnie, rasowo, rdzennie i duchowo polskie.

Co do ulubionych książek odpowiedź jest trudna, bo każdy okres życia i rozwoju przynosi swoje ulubione książki. Jednak miłe mi i potrzebne od najdawniejszych czasów do dziś tylko „Wyznanie” św. Augustyna, „Pan Tadeusz” i „Księgi” Marka Aurelego.

Z autorów obecnych lubię bardzo: Ernesta Hello, Paul Adama, Josepha Conrada, Marcellego Schwoba („Krucjata dziecięca”), Victora Hugo i Cervantesa („Don Quijote”). Nie lubię Prousta i całej falangi modnych obecnie pisarzy.

Ze współczesnych autorów polskich Żeromski góruje tak dalece nad resztą, że nie widzę możliwości postawienia przy nim innego nazwiska. Mimo wielu nierówności uważam go za wciąż jeszcze niedocenianego przez ogół i mało rozumianego, jednego z największych twórców polskich.

Aleksander Wat

Zawdzięczam literaturze obcej przede wszystkim wygłazowanie tradycji polskiej prozy sensualistycznej; zawdzięczam jej — zmysł precyzyjny, zainteresowania tematyczne, problematykę i — do pewnego stopnia — dzisiejsze ogólnie - europejskie zakłamanie, delikatnej mówiąc — sugestię, które u nas składa się przeważnie na karb Erenburga, chyba dlatego, że jest on najtańszym, najbardziej prostaczym i najkrzykliwszym jego kolporterem. Do walki z tem zakłamaniem — poza jednolitą i zdecydowaną platformą społeczną — konieczna jest na olbrzymią skalę zakrojona, wszechstronna i nieubłagana praca uczonych i artystów, ustalająca ujęciowość, jakim ulęgła dzisiejsza myśl filozoficzna, społeczna, historyczna, religijna i t. d. przy transplantacji na beletrystykę i krytykę literacką.

Deprymując działa na mnie moda na literaturę optymizmu, radości życia, energii, etyki, sportu, przeważnie powołana do życia przez generałów, albo będąca skutkiem przemijającego podniecenia. Spokojność powojenne nie ma żadnych podstaw do optymizmu, młodości bliźniego i radości życia — twórczy, zdrowy, współczesny pesymizm spełniałby znacznie lepiej swą rolę, przynajmniej w społeczeństwach kapitalistycznych.

Jeżeli pokutowały we mnie jeszcze szczytki religijne uczucia, to literatura „neokatoicka” (zwłaszcza w jej odmianie cocteau’wskiej) i naszej — pożałuj się Boże — marksowskiej) dopomogły mi zgębnić je doszczętnie.

Cenię Suarésa, poetę wewnętrznego nateręnia Bernanos’a (którego „Sous le soleil de Satan” niedawno

przetłumaczyłem), Aragona, Babela Pasternaka. Nie wyczerpują oni zresztą ani treści, ani zakresu tego pojęcia.

Ulubioną dziś lekturą: Giraudoux (którego „Belle” tłumaczę), Proust, stare słowniki. Gorącem wspomnieniem wracam do „Egoisty” Meredith’a, „Biosów” Dostojewskiego, „Krytyki praktycznego rozumu” Kanta, Eckermann’a „Rozmów z Goethem”, książeczki, której tytułu ani autora nie znam (może Kierkegaard?), Hoffmanna „Pamiętników kota Mruczka”, nowel Poe’go i Washingtona Irvinga.

Wpływy, które w sobie zwałam: Wolter, France, Chesterton, reporterka i kinowość.

Pisarze, którym zawdzięczam świadomy stosunek do techniki i tworzywa literackiego oraz pochop do eksperymentowania: Majakowski, Chlebnikow, Latorgę, Apollinaire, Rabelais, imaginistyczny rosyjski. Pozatem nowe malarstwo francuskie i współczesne kierunki naukowe.

Na gruncie, a raczej z pominięciem P. E. N. - Clubu (jako instytucji prawie wyłącznie towarzyskiej), należy założyć **stacje literackie** z międzynarodową centralą. Zadanie ich: ustalanie i opracowywanie ankiet, statystyk, biuletynów, zdających dokładnie sprawę z całokształtu prądów, kierunków, zjawisk literackich poszczególnych krajów: następnie teoretyczne i praktyczne kreślenie izobar, izoterm, izogon literackich, łączące zjawisk analogicznych i t. d. Prace takich stacji — oprócz zorganizowania i ożywienia życia literackiego — pożyłyby mocne podwaliny nauki o literaturze w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Tadeusz Zieliński

Mówiąc o literaturach „obcych”, wyłączałam narazie literaturę starożytną, których wpływ na moją umysłowość, począwszy już od lat dziecięcych, był większy, niż wszystkich nowych razem wziętych.

O ile więc chodzi o te nowe obce literatury, to wskutek tego, że język francuski był w moim dzieciństwie moim drugim językiem, literatura francuska pierwsza wśród obcych zaczęła oddziaływać na mnie — naprzód w postaci książek podarunkowych dla wieku dziecięcego, które mnie zaznajomiły z legendarnymi osobistościami Karola Wielkiego i Joanny d’Arc, a później i w postaci poważnych autorów. Jeszcze w wieku przedszkolnym, myszując w bibliotece mego ojca, natrafiłem na pięknie ilustrowane dzieło Fénelona „Les aventures de Télémaque”, które przeczytałem kilkakrotnie z rosnącym zapalem — zaje się jako jeden z ostatnich jego czytelników poza granicami Francji. Wcześniej też pochłonięłam Moljera. Ale największe wrażenie zrobił na mnie Victor Hugo, szczególnie w jego potężnym romansie „Les misérables”, który przeczytałem po raz pierwszy, niebardzo go rozumiejąc, jako 10-letni chłopiec, a potem kilkakrotnie już w dojrzałym wieku. Zaden z późniejszych pisarzy (środek których dla mnie górują Zola, A. Daudet i France) nie wywarł na mnie nawet w przybliżeniu takiego wpływu; Hugo należał aż do dziś dnia do moich ulubionych autorów.

Drugą z kolei była literatura rosyjska; tu się od razu, bo już od pierwszych lat szkolnych, przywiązałem do Puszkina, Gogola (w jego ukraińskich powieściach) i do Aleksieja Tolstoj’a; zachowałem im swoją miłość dotychczas. Później polubiłem Turgeniewa i Lwa Tolstoj’a — w jego wczesnych dziełach; Dostojewskiego podziwiałem i podziwiam dotychczas, ale czytam niechętnie, jako pisarza okropnie denerwującego. Natomiast miałem i mam niezwykły wstręt do pisarzy kierunku satyrycznego i za lat szkolnych nie mogłem się zdobyć na przeczytanie e satyrycznych utworów nawet Gogola, która to niechęć za ledwie nie doprowadziła do katastrofy na maturze. Później zmusiłem siebie do przeczytania dzieł wielkich satyryków nowszych czasów (Uspienskiego, Szchedrina, Czechowa), ale serdecznego stosunku do nich nie miałem i nie mam.

Od szkolnych czasów zaczynają się także moja znajomość z literaturą niemiecką, pogłębia i rozszerzona podczas studiów w Lipsku w latach 1876 — 80. Moim pierwszym przyjacielem był Schiller; pozostał nim i nadal, chociaż później zasłonił go oczywiście Goethe. W ciągu ostatnich lat szkolnych poddałem się urokowi średniowiecznej poezji i miałem cierpliwość przeczytania całego Wolframa von Eschenbach. Ze zdobywczy lat studenckich muszę wymienić Lenaua (którego pokochołem za jego życzliwy stosunek do naszej ojczyzny w przepięknych „Polenlieder”), Immermanna i Grillparzera; tego staram się i teraz propagować w Polsce, niestety, bez wielkiego sukcesu. Ostatnim niemieckim pisarzem, któremu zawdzięczam mocne wrażenia, był Hauptmann (przede wszystkim „Versunkene Glocke”); tych, co byli po nim, — Dehmel, Rilke i in., — starałem się czytać, ale bezowocnie: wprost ich nie rozumiełem.

Literatura angielska oddziaływała na mnie naprzód w przekładach, i dopiero od studenckich lat w oryginalu; obok Szekspira — jednego z moich najulubieńszych do dziś dnia — pokochołem i kochał Walter Scott’a i Dickensa. Byro-na cenię tylko w jego „Gaiurze” dzięki przekładowi Mickiewicza; pozostałe jego dzieła niebardzo trafiły do mego serca. Dla późniejszych — Wilde’a, Shawa — mam tylko ciekawość, pozbawioną i miłości i nawet szacunku.

Dłuższy pobyt we Włoszech po skończonych studiach w Niemczech ułatwił mi znajomość z literaturą tego kraju; tu od razu miejsce górujące zajął i zajmuje dotychczas Dante. Z pisarzy nowożytnych polubiłem z całego serca Fogazzara; dla d’Annunzia mam tylko podziw zmieszany ze wstrętem.

Jeszcze muszę wymienić literaturę norweską w jej głównych przedstawicieliach, Björnsonie i Ibsenie. Ibsena przeczytałem całego bardzo uważnie; miłość nie wymaga, a więc i nie otrzymała, ale pomimo tego zawdzięczam mu wiele.

W następnych numerach m. in. głosy Jana Paradowskiego, Michała Sobieskiego, Marjana Szykowskiego, Józefa Wittlina i t. d.

Książka o Grecji

W najbliższym czasie ukaże się w nakładzie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich książka Jana Parandowskiego „Dwie wiosny”. Z rozdziału „Stolica niebieska” wyjmujemy fragment poniższy.

Ciężka ruda skała twardo osiadła na krajobrazie attyckim. Zjawia się na końcu każdej drogi, i zawsze jej najpierw szukają nasze oczy. Przygłotła sam środek kłębka, z którego wysuwają się ulice Aten. Uciekają z pod jej ucisku, zasuwają się poza płaszczyzny domów, lecz i najdalej niteczki, pozornie rozzerwane, muszą do niej powrócić. Od nowego miasta ku starej górze zamkowej rozwija się długi i szeroki bulwar, jak biały pergaminy przymierza. Ale u stóp Akropolis przechodzi w wąską ścieżkę, która, idąc na szczyt wśród agaw i oliwek, wygina się zakrętami niby w kolejnych pokłonach. I znika, rościła się w proch przed marmurowym majestatem Propylejów. Wszystko co zostało na dole wydaje się małe. Tylko po brzegach widnokręgu trwa podobocznie sąsiadstwo: śnieżysta piana Parnasu, różowa chmurka Akrokoryntu i sina gręga wierzchołków peloponeskich.

Między kolumnami Partenonu wiatr szumi jak w lesie. Na wielkiej perspektywie powietrznej rozpina się cudne słupy niby struny harfy. Dosłyszalnie dla ucha wygrywają swą niezrównaną harmonię. W świątyni niema nic prócz niemych. Słońce przebiera promieniami po kanelurach i dobywa z nich ciche, złościone tony. Wzdłuż marmuru spływa patyna jak fala żółt dojrzalszy lub ulewa liści jesiennych. W odlupanych szczerbach świecą ziarna białego kamienia jak diamenty. Niewidzialnymi żyłami rozbija się po gmachu ciepło dnia, i cały dom boży oddycha wonią rumanu. Pod samym szczytem słychać tętent koni. Na górnym fryzie jedzie orszak efebów. Pełną ponad czasem jak wieczna, niezniszczalna młodość. Gubią po drodze podkowny szczęścia.

Z przeciwnie krawędzi skały idzie wprost ku nim sześć dziewcz. Zgięte w ruchu kolana przeglądają z pod marmurowego płótna — czyste jak kolana Nauzykai. Idą rytmem tak zgodnym, że nie zważa się ani jedna faldy ich szat, opadających ku stopom długimi, równymi bródami żłobkowanej kolumny. Pod przysłoną delikatnych pelosów tętni życie zdrowego ciała. Prężne uda dźwigają w rozwarciu bioder jedyny tors, rozkwitły kulami wypukłych piersi. Zwiędła szyja — soczysta tódga kwiatu — trzyma w niezachwianej pewności głowę obciążoną grubymi warkocami. Oczy znają swój cel, zamknięte usta nie przywykły pytać o drogi. Karjatdy Erechtejoni idą tak powoli, jakby całą wieczność miały przed sobą.

A w drugim przedsiomku równie dziewczecie kolumny jónskie stoją zatopione w rozważaniu swej niezgasłej świeżości i urody. Nie widzą pustki, która je otacza, nie sprostzą nawet straty swojej szóstej siostry. Wymukle, wspięte ku górze, biorą kapiel ze słońca i powietrza. Skrety ślimacznie wiją się na głowicach jak rozczesane, puszyste loki. Proste dziewczęce ciała, gładkie i smukłe, nie drgają żadnym pragnieniem, żadną myślą, prócz tej chyba, żeby tak zawsze stać w podziwie tych wszystkich oczu, które im służą za zwierciadła.

I jeszcze — w ściśniętym odosobnieniu dawnego bastionu, pod przepychem Propylejów, które te ustroju czynią jeszcze bardziej ciasną, ukrywa się mała świątynia Nike, — dziecko schowane w krzakach, biedna sierotka siedząca na progu. Jest taka mała i krucha, że lek bierze, aby jej wiatr nie stracił w przeпадzie, która jest pod nią. Wstydzi się swoich całych murów i nienaruszonych kolumniek. Wstydzi się tego przebrania, bo wszystko jest na niej polatane i jakby niewłasne. Obce ręce złożyły ją z porozrzucanych kamieni, wyglądają szczerzy ścian, wywiodły wiązania stropu. Powinna oto leżeć w prochu, obok zwalisk bardziej potężnych, i być jedynie wspomnieniem. A tak, sklecona cudzą umiejętnością, chatynka boża nie wie, poco istnieje, skoro już raz umarła i skoro odleciały od niej skrzydlate boginie, które strzegły jej zagrody.

I na całym wzgórzu niema więcej żywych istot. Same tylko członki rozrzucone, ścięga wydobyte na wierzch, odsłonięte wnętrzości. Ponad pustkowiem głów, przetykanych rzadkimi krzakami, władza prawdziwie i niepodzielnie Partenon. Niema ani wysokich regionów

katedry gotyckiej, ani ogromu piramid, ani blasku kościołów stojących w ozdobie fresków, rzeźb i witraży. Niema nawet tyle mocy, aby uwięzić spojrzenie, które swobodnie wybiega na otwarte zewsząd widnokręgi. Rozpryskują się wniwecz szturmie nagłych uniesień. Wszelka popędliwość zostaje odepchnięta stanowczo i na zawsze. Powoli odsłaniają się skarby dziwnego gmachu. Jedynie cierpliwe, pokorne oczy znajdują dostęp do jego tajemnic. Dzień za dniem jak szczebel po szczeblu prowadzi do pełnego zrozumienia.

Widziałem Partenon, w pierwszej godzinie przyjazdu, jak białal pod żarem południa. Patrzyłem nań z bliska i szukałem go ze wszystkich odległości. O zachodzie słońca rozwijał się jak kwiat brzoskwiń. Raz, w nocy, podparty ciemnością i chmurami, wypełnił się, sprzągl rozdarła członny i na jedną chwilę księżycowego blasku rozparł się na ogromnym mroku krótką jak błyskawica wizją swojej dawnej formy. Do dziś pamiętają brzusce moich palców jego marmurów szorstkość — osobną, nieporównaną z żadnym innym dotknięciem. Przez trzy tygodnie, przesiadując na przewróconym bębnie kolumny, uczyłem się Partenonu na pamięć.

Z niewyuczalnych dla oka rozmiarów złożyła się ta wzniosła poezja geometryczna. Każdy kamień wylamywano w jarach Pentelikonu z dokładnym określeniem miejsca, na którym miał stać, celu, do którego miał służyć. W pobliżu świątyni znaleźli archeologowie dół wypełniony niezwykłymi częściami kolumn. Trzeba długich badań, aby dostrzec na ich nieskazitelnych powierzchniach tę wadę lub skazę, dla której je odrzucono. Bębny kolumn, niespojone cementem, połączono ze sobą tylko bronzowymi klamrami w środku trzonu, a ich płaszczyzny zachodzą na siebie z doskonałością złotniczej roboty. Fidjusz — bo jedynie jego imię może tu być wymowne — znał sekrety marmurów, jakby współdziałał w skupianiu się ich atomów. Twardość i opór kamienia potrafił przełamać tak, że przyjmował układ najsurowszego rysunku. Stopnie głównego wejścia tworzą widomie prostą linię, a pod libellą wykazują pewną krzywiznę, obliczoną na kaprys naszej optyki. Fidjusz rozumiał mowę światła i cienia. Kolumny narożne mają średnicę większą od innych, gdyż wystawione na pożerającą działalność wolnej przestrzeni, przy tej samej objętości wydawałyby się zbyt smukłe. Z najtrafniejszych proporcji, z ostrożnych nacheyleń, z ledwo powychytanego wyjęcia kolumn, ze ścisłych zestawień szczegółów, które niewątpliwie mają jeszcze niejedną tajemnicę przez nas nie odkrytą, — złożył się zwyczajski pean planu i rachunku.

Tylko raz jedyny mogło powstać takie dzieło. Następne, choćby przez tych samych ludzi tworzone, byłyby podobne, bliskie, lecz już poniżej albo powyżej tu zaczarowanej miary, Napozór niema żadnej osobliwości wyróżniającej Partenon od innych budowli doryckich, rozrzuconych po Grecji, Sycylii, południowej Italii. Wszystko zamyka się w tych samych poważnych, spokojnych liniach. Ale punkty, które je łączą, biegną tutaj bardziej strzelisto, dają ku szczytowi osiągnięciem. W atmosferze wysokiego natchnienia stare prawa architektoniczne dojrzewają poprostu w platońską ideę świątyni doryckiej, w olśniewający prawzór, którego wszystkie inne są jeno ziemskiem odbiciem. Mimo że tak widome są na Partenonie ślady ziemskich wstrząśnień, rodzi się przekonanie, iż nie ziemia jest jego podstawą.

Ale pomiędzy mną a jego czasem cienie już nabyły się wydłużuły. Greckie południe blizszy ku mnie zdaleka, jakby przez siatkę zmierzchu. Chłodnem ostrzem wcinia się w duszę czysty rysunek Partenonu. Dookoła jego niesamowitej prostoty, dookoła jego niezmąconego spokoju krąży szumny zgiełkiem mój niepokój. Serce się waha. Po tamtej stronie mroku widzę białą boginię i chociaż usta drżą do pocałunku, moja ręka nie śmie się wyciągnąć po skraj jej szaty. Trzeba długich godzin, których nieruchomości jest podobna głębokiej modlitwie, aby rozwinąć się mgły i myśl napełniła się pogodą. Wtedy, dopiero wtedy, pod kolumnami Partenonu, odczuwam na chwilę, krótką lecz ogromną jak szczęście, — ową ciszę morską duszy, dla której w żadnym języku niema wyrazu, a którą Grecy nazywali „sofrosyne”.

POWIEŚĆ EWANGELICKA

Paweł Hulka-Laskowski. Porucznik Re-gier. Powieść. Warszawa, „Zwiastun Ewangeliczny”, 1927; str. 353 i 3nł.

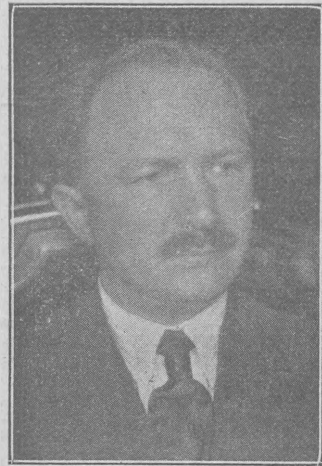
„Porucznik Re-gier” był drukowany w odcinku powieściowym „Zwiastun Ewangeliczny”, pisma warszawskich ewangelików. Powieść ma charakter propagandowy, propaguje protestantyzm polski.

Fabula „Porucznika Re-giera” jest podobna do „Zarzewia” Rogali: oszczędna w opisy i obfita w dialogi (może signum temporis?). Ale powieść p. Hulki-Laskowskiego ma ideologię ogromnie zwartą, bo autor wie, do czego dąży. Przypomina sznur gęsto pokryty węzłami. Węzły — to partyje ideologiczne. Dla nich został napisany „Porucznik Re-gier”.

Program p. Hulki-Laskowskiego nie jest maksymalny. Zawiera go całkowicie w ramach swych paragrafów konstytucja: wolność sumienia i wolność wyznania religii. I stąd walka z katolicyzmem, której metoda jest identyczna z praktyką pism wolnomyślicielskich, bo wykazuje słabe miejsca ortodoksyjnego katolicyzmu, jego nieprzystosowanie do potrzeb współczesnego życia.

Przejrzałem umyślnie ostatni rocznik „Zwiastuna Ewangelicznego”, bo zaciekało mnie, jaki program pozytywny wysuwają nasi protestanci poza zwalczaniem katolicyzmu, następującego im na pięty. Otóż usiłują oni urobić jakieś nowe, a w rzeczywistości bardzo proste i same przez się zrozumiałe normy stosunku jednostki do społeczeństwa. Chcą budować swobodę religijną jednostki w obrębie chrześcijaństwa, swobodę opartą na krytyce. Nie mają wreszcie nic przeciw katolicyzmowi, ale temu, który myśli i dba o duszę, nie o kościół. Ściśle: nie przeciwstawiają się katolicyzmowi (rzecz inna, że mają na myśli modernizm katolicki), ale stoją w opozycji względem Rzymu, względem państwa w państwie, względem chwytności władzy świeckiej przez kler i t. p. Ewangelików naszych boli jedna sprawa. Nieomal do dziś dnia istnieje tendencja uwężania ewangelików polskich za gente germanos. Jest to dla nich zarzut najboleśniejszy — i cała działalność „Zwiastuna Ewangelicznego” oraz ideologia „Porucznika Re-giera”, tego niejako świeckiego reprezentanta pisma, jest obroną przed zarzutem niepolskości.

Stąd przesadna dbałość o prestige państwa, i argumentami przeciw wojacemu katolicyzmowi naszemu — względem lojalności obywatelskiej wobec kraju. Np. w artykule przeciw historycznej agonce „Dwugroszówki” na marjawitów powiada p. Laskowski: „Dzisiaj, gdy rząd polski pożyczka pieniądze w wolnej Ameryce, budzenie nienawiści wyznaniowej w Polsce jest czynem niepatryjotycznym”.



PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

nym wogóle, w szczególności zaś bardzo niskim i nędznym. Zarazem bezcelowym”. Jest w tem zresztą cichy podstęp wojenny, coś w rodzaju subtelnej szantażu, ale mniejsza o to, bo argumenty często pełnią podwójne funkcje.

Podkreślając swą polskość, kwestionowaną jeszcze teraz przez katolików, a dawniej przez Rosjan, ewangelicy polscy szukają argumentów na swoją korzyść w ramach kultury polskiej, a właściwie literatury i historii: Poszukiwania te kwestionują rzekomo notoryczny katolicyzm literatury polskiej, starając się dopatrzeć świadomego albo nawet i nieświadomego protestantyzmu. Dlatego np. p. Hulka-Laskowski gromi w jednym z artykułów sady galicyjskie, że skoniściowały w r. 1926 jeden z numerów „Polski Odrodzonej” za wydrukowanie części rozprawy politycznej Seweryna Goszczyńskiego p. t. „Moralna podstawa sprawy polskiej”.

Film Kazimierzy Alberti

Kazimiera Alberti. Mój film. Poezje. Warszawa, F. Hoiesick, 1927; str. 59 i 5nł.

Jeśli istotnie wiersze składające się na ten tomik odbiegają od utartego szablonu, mają swoje oblicze, swoją uwspółcześioną wewnętrzną konstrukcję, własny styl i swoiste składniki treściowe, to zalety te zostały okupione nadnaturalnie wysoką ceną, daną niemal samego talentu, który w pogoni za efektem, biegnąc po linii wyszukanej sztuczności, musiał doprowadzić do największego niebezpieczeństwa, do *zmanjerowania*.

Manjera tem groźniejsza, że paraliżująca ostrze krytycznego zmysłu poetki, przez zrozumiałe zresztą wytworzenie takiej atmosfery psychicznej, w której zjawisko przesady i nienaturalności poczyna uchodzić za objaw istotnych wartości twórczych, organicznie związanych z *rodzajem* talentu, wsiąkając wreszcie w krew poetycką jako składnik normalny i naturalny.

Czy przed powyższym zarzutem dostatecznie broni autorkę zaimak „mój” umieszczony w tytule indywiduizujący poniekąd zagadnienie, czy może jest właśnie akcentem wskazującym na tego rodzaju zamiar artystyczny, w którego zało-



fol. Brzozowski

KAZIMIERA ALBERTI

PROZA KOBIECA

T. Brudzewski. Zatrute źródło. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 157 i 3nł.

Głównym wątkiem powieści są przeżycia muzycznej dziewczyny przed wojną i po wojnie. Nawiasem mówiąc, trudno ostatnio otworzyć jakkolwiek nową powieść polską czy zbiór nowel, aby nie znaleźć tej wojny, grającej już najcięższą rolę sztafażu lub ornamentu. Dziewczynka staje się kobietą, ale jej promienne, pełne muzyki dzieciństwo zamienia się w ciężką codzienną orkę zdeklasowanego drobnego ziemiaństwa. Bohaterka zapomina o muzyce. Nawet powrócił ojca z niewoli rosyjskiej, w której dorobił się pieniędzy (zwulgaryzowanie pomysłu Kislewskiego z „Biedu”: tu Koryatowicz kupuje od Żyda bezcenne brylanty za bochenek chleba), nie zmienia jej sponurałego usposobienia, bo ojciec — idealista — z muzyką dyktanta stał się paskarzem. Tereska zamyka się w sobie, nie znajdując nikogo, koby ją zrozumiał. Powieść kończy się pesymistyczną pointą.

Najlepiej udało się autorce postacie kobiece. Zresztą mężczyźni mało pokazują się w tym światku wzajemnych niezrozumień się.

„Zatrute źródło” jest napisane o wiele lepiej od „Dzwonu na trwogę”.

Biblioteka Powieściowa. Redaktor Marjan Kister, Nr. 519, Wanda Melcer-Rutkowska. Narzeczone z Angory. (Okładka projektu S. Norbina). Warszawa, „Rój”, 1928; str. 170 i 6nł.

Z dużą fantazją napisane są szczegóły „Narzeczonej z Angory”. Właściwie

w której Goszczyński ujemnie oceniał katolicyzm z punktu widzenia narodowej racji stanu. Dlatego autor często powołuje się na szczytną przeszłość literatury, powstającej przeciw formie, a dążącej do treści. W „Poruczniku Re-gierze” typowy np. jest ustęp: „A cóż w takim razie zrobić ze zdaniem wielkich i największych pisarzy i myślicieli narodu, którzy wskazywali, że przywileje i panowanie wyznania formalizują duszę i zabijają w nich wszelkie żywe uczucie religijne? — pytał Re-gier. — Milczcież trzeba o tem wszystkim, jakby nigdy nie było Modrzewskiego i Ostrogo, Mickiewicza i Goszczyńskiego, Trentowskiego i Czeskowskiego, a nawet Brzozowskiego i Witkiewicza”...

Nic też dziwnego, że prasa przemilała zupełnie „Porucznika Re-giera”, chociaż powieść sama nie zasługiwała na to. Stanowi ona blans umysłowy dość licznej grupy, i to bilans utrzymany na wysokim poziomie intelektualnym.

Pan Hulka-Laskowski nie ukrywa ciągłego kontaktu z zagranicą, szczególnie z francuską literaturą katolicką, i to jest jedyny bodaj u nas wypadek nie zapożyczania się, ale obcowania umysłowego. Inna sprawa, że odbija się to na powieści, która rozrasta się dzięki drożdżom publicystycznym. Rdeń np. artykułu o ateistycznym katolicyzmie, drukowanego w nr. 197 „Wiadomości Literackich”, znalazłem w „Poruczniku Re-gierze”, a takich rudymetów jest tam ogromna ilość, nie w'iem, czy nie zbędnie. Obfitość dowodziłaby bogactwa, gdyby nie były to obserwacje jednego typy.

Któryś z ewangelickich recenzentów „Porucznika Re-giera” napisał, że powieść ta jest średnią arytmetyczną dla stosunków wśród rodzin ewangelickich. Jest to prawie pewne, ale dlatego powieść cierpi na brak wynalazczości psychologicznej, na nie twórczą, ale wyłącznie obserwacyjną typowość. Bo przecież to, co powiedział autor, niekoniecznie stanowiło dlań samowiadomienie, stanowiło raczej pokwitowanie świadomości spraw dawno przetrawionych. Myślę nawet, że napisanie „Porucznika Re-giera” nie było umotywowane twórczą koniecznością, ale względami natury dydaktycznej czy popularyzatorskiej.

Henryk Drzewiecki.

zeniu było „naświetlenie” na taśmę filmową wystylizowanej, sztywnej, martwej wreszcie rzeczywistości?

Na pytanie to należy odpowiedzieć przecząco. Utwory, jak „Wiosna w prer-jach”, „Mały dżokej”, „Tancerka” i inne, wskazują aż nadto, iż punktem wyjścia miał być ruch, dynamika, nieustanne, szybkie przesuwanie scen i obrazów.

W rzeczywistości otrzymaliśmy jednak fotografie, widoki rzucone na ekran z czarnoksięskiej latarni, wyretuszowane karykaturalnie, a co najwyżej — nienaturalny film, przypominający początki sztuki kinematograficznej, z całą przesadą i stylizowaną sztucznością mimiki i gestów.

Wreszcie kwestja natury formalnej, ty-cząca się nadużywania t. zw. asonansów.

Rymy te używane bez istotnej potrzeby, stanowiące tutaj tylko luźne zakończenie rytmicznego członu, doskonale demaskują swoją sztuczność, swój brak powołania. Są jak dzwonki alarmowe na zakrętach, zdradliwie podkreślające każdy fałszywy krok, nieudane stąpienie autora.

Reasumując — trudno, wniosek może wydać się autorce nadto banalny: więcej prostoty.

jl.

Wystawa czesko-słowacka w Zachęcie

Wobec pobratymczego narodu należy zachować kurtuazję. To też o wystawie czeskiej należałoby bez zająknięcia powiedzieć, że jest bardzo ciekawa, że zawiera wiele rzeczy oryginalnych, że wskazuje na stały i świetny rozwój, — słowem, że sztuka czeska ma za sobą piękną przeszłość, a przed sobą jeszcze piękniejszą przyszłość.

Takie sprawozdanie z wystawy czeskiej leżałoby całkowicie na linii moich pragnień. Niestety jednak, rozpędowi entuzjazmu staje na przeszkodzie spojrzenie krytyczne, chłodne, ale rzeczowe. Nie jestem oczywiście w stanie ocenić, na ile wystawa ta jest rzetelnym odpowiednikiem istotnego stanu sztuki czeskiej. Sądząc po ekponatach, które mają reprezentować twórczość np. Mánesa, iavrátila i Slavicka, wystawy tej nie można uznać za dostateczną podstawę do wydawania sądów o całokształcie sztuki czeskiej, przede-wszystkiem jeśli chodzi o część retrospektywną. Ten mniej lub więcej przypadkowy przekrój, który ujawnia wystawą, narzuca tylko pewne refleksje, głównie co do t. zw. impresjonizmu, czyli — ściślej mówiąc — kierunku, który powstał na tle impresjonizmu francuskiego. Fatalny wpływ niemiecki zaciążył na tym odłamie malarstwa czeskiego może silniej, aniżeli na odpowiednim naszym. Przewstawienie, jakie dokonało się pod wpływem tego pośrednictwa niemieckiego, doprowadziło do ciekawego zjawiska: do zupełnego odwrócenia założeń, do całkowitego przeinaczenia tych punktów widzenia, które kierowały powstaniem impresjonizmu we Francji. Jeśli jedną z najbardziej charakterystycznych, najistotniejszych cech impresjonizmu francuskiego było wyjście poza przedmiot, było zdematerializowanie materji, zamienienie całego realnego istnienia rzeczy i ludzi na esencję kolorów, wibrację tonów, to dziwnym zbiegiem okoliczności we wszystkich północno-europejskich i środkowo-europejskich derywatach tego typowo impresjonistycznego poglądu na świat występuje poddanie kolorystycznym i formalnym zagadnień mniej lub więcej realistycznych, mniej lub więcej romantyczno - symbolicznej przedmiotowości.

Sztuka czeska zdaje się potwierdzać tę regułę w stopniu bodaj jeszcze większym, aniżeli czyni to nasza. Przedmiotowość ciąży i hanuje wyobraźnię malarską artystów, a kolorystyczna wizja Francuzów zamienia się na mieszaninę szarych tonów, poddanych prawom realnego istnienia, prawom przedmiotu i materji, względnie koncepcjom literackim. Jeśli dla rasowych malarzy, jakimi są Francuzi, jakimi w historii byli Włosi lub Hiszpanie, przedmiot jest tylko protekstem do ujawniania coraz to nowych wizji kolorystyczno-formalnych, to tutaj sprawa dwaznacznie się przekręca, barwa i forma stają się przedewszystkiem środkami do oddania przedmiotu, zatracca się właściwa i istotna kwintesencja malarstwa.

Jeśli chodzi o modernizm czeski, to o-brazy takich malarzy, jak Filla, Capek, Holan, Kotik, Muzyka i in., zdradzają niewątpliwie dążenia uczciwe i sumienne. Może nawet — zbyt sumienne. Ich zależność od pierwowzorów francuskich jest tak uderzająca, że patrząc na ich obrazy ma się co chwila wrażenie rzeczy znanych. Przesuwają się przed naszymi oczyma parafrazy Braque'a, Lhote'a, Utrilla, Derama, Friesza, Kubina i t. d. i t. d. Czeskich uczniów odróżnia od nauczycieli francuskich pewno dosłowność i nieśmiałość, ujawniająca się głównie w przytłumionym kolorystyce, a przedewszystkiem w pozbawionej rozmachu i jednostajnej fakturze. Ów brak naturalnego poczucia koloru i farby, brak malarskiego temperamentu, ratuje tylko rzetelność pracy i szczerość wysiłków.

Część architektoniczna wystawy nie dorównywa nie tylko ilościowo, ale nawet jakościowo tym eksponatom czeskim, które mieliśmy sposobność oglądania z racji międzynarodowej wystawy architektonicznej i które pozwalały na urobienie sobie bardzo dodatniej opinji o nowej architekturze w Czechach. Zdaje się, że stosunek t. zw. „miarodajnych kół” czeskich do modernizmu jest bardzo mądry: z jednej strony żywcila neutralność, czy też żywcila wycofanie, z drugiej — czynne poparcie tam, gdzie rzeczy wykazują zalety praktyczne, zdolność do życia i rozwoju.

Stefania Zahorska.

Zamierzenia wydawców

— Nakładem Jakóba Mortkowicza ukażą się w czasie najbliższym pisma posmęrtne Żeromskiego w opracowaniu Borowego p. n. „Elegje”, dwutomowe wydanie (w ograniczonej ilości egzemplarzy) „Popiołów” z barwnymi rycinami Boruckiego i czarnymi Bartłomiejczyka, opatrzone autografami „Popiołów” oraz portretami autora z okresu pracy nad tą powieścią, książka o charakterze biograficznym przez Piotru Noy-szewskiego (z uwzględnieniem niedrukowanej korespondencji), przekład niemiecki „Wisły” z rysunkami Kamińskiego.

— Jakób Mortkowicz zapowiada nowe powieści Struga („Fortuna kasjera Spiewankiewicza”), Dąbrowskiej, Ewy Szalburg („Odgłosy ziemi”), Kuncewiczowej („Twarz mężczyzny”) i Wolosowskiego („Słowacki”).

— Nakładem Księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego ukaże się niebawem pierwszy zeszyt wielkiego wydawnictwa ilustrowanego „Polska, jej dzieje i kultura od czasów najdawniejszych aż do chwili bieżącej” w opracowaniu szeregu uczonych polskich, jak Antoniowicz, Arnold, Brückner, Grodecki, Halecki, Jachimicki, Kopera, Szelagowski i inni. Całość obejme 3 tomy (2.000 stron, 25 plasz kolorowych, kilkadziesiąt tablic oraz wkładek, 1.500 ilustracji w tekście).

hr.

Ukazał się grudniowy zeszyt

„SKAMANDRA”

i zawiera treść następującą:

Juljan Tuwim. — Strofy o późnem lecie. Pieśń o głowie i księżycu. Matematyka. Poeta. Wiersz. Zenon Wasilewski. — Śmierć Ignacego Kubaka. Marzec. Młocka. Jesień. Tabun. Jan Nepomucen Miller. — Jednostka i zbiorowość. Antoni Stonimski. — Oko w oko. Poemat. Mieczysław Jastrun. — Burza. Stanisław Baliński. — Drogi porzucone. Jerzy Liebert. — Gusła nad źródłem. Włodzimierz Szobodnik. — Golem. Mieczysław Braun. — Do ciebie. Jarosław Iwaszkiewicz. — Aleksey, czyli rozmowy o Karolu Szyma-

nowskim. Dialog I. — Calderon de la Barca, sparafrazował Edward Boyé. — Czyścić św. Patryka. Fragment dramatu. Okładka Janiny Konarskiej.

Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, codziennie od 9 — 18. Konto czekowe 8.515.

Prenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie, łącznie z „Wiadomościami Literackimi” w stosunku zł. 15.—kwartalnie, zeszyt pojedynczy zł. 3.—, dla prenumeratorów „Wiadomości” zł. 2.25.

Barwne widowisko na tle Arystofanesa i Nowaczyńskiego w Teatrze Polskim „Wojna wojnie“ w inscenizacji Schillera i oprawie Daszewskiego



fol. Brzozowski
Zdzisława Życzkowska (Lampito) i Ewa Kuncewiczowa (Myrrine)



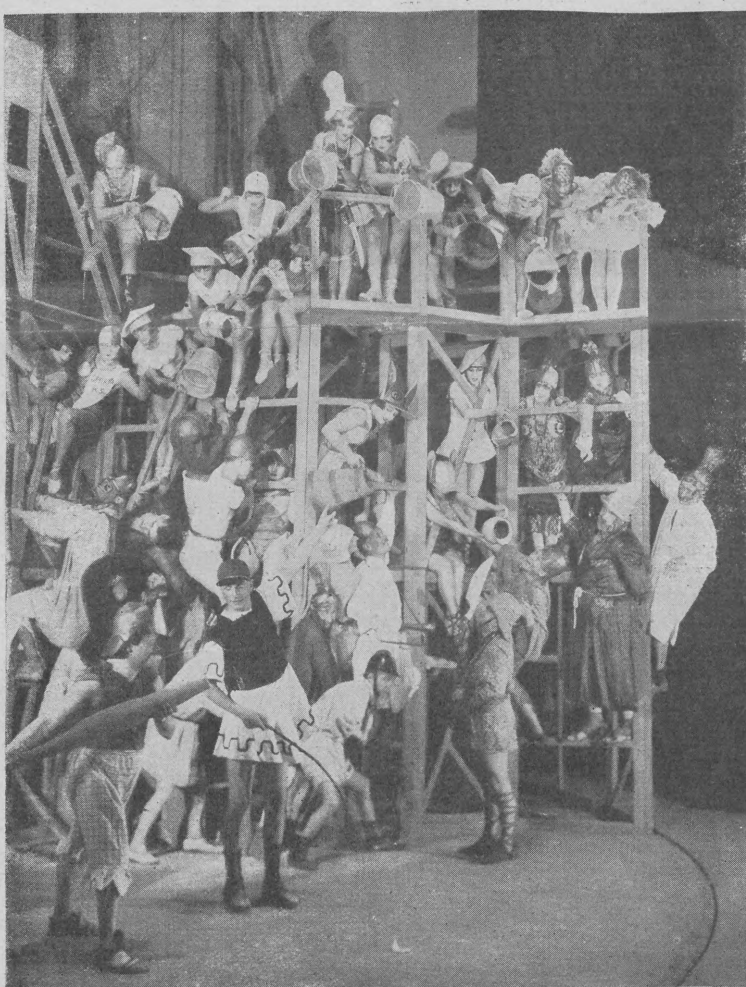
fol. Brzozowski
Janina Szymbortówna (Doris) i Bogusław Samborski (Kleon)



fol. Brzozowski
Zofia Gryf-Olszewska (Kalonike) i Janina Skibińska (Rodope)



fol. Brzozowski
Lea Pancewicz (Miroluba)



fol. Brzozowski
Szturm mężczyzn na zajęty przez kobiety zamek



fol. Brzozowski
Marjusz Maszyński (Salamis)



fol. Brzozowski
Spędzenie Kleona i proklamacja Salamis



fol. Brzozowski
Przed wspólnym pochodem Aten i Sparty na Syrakuzy

Dłaczego skazano redaktora „Czasu“?

W nr. 199 „Wiadomości“ w artykule „Pogwałcenie prawa autorskiego“ podaliśmy przebieg procesu, wytoczonego redakcji „Czasu“ przez Boya - Zelenkiego. Obecnie dajemy motywację wyroku, stwierdzającego winę redaktora „Czasu“, dr. Antoniego Beaupré, że w przedrukowanym z „Kurjera Porannego“ feljetonie Boya - Zelenkiego „wprowadził rozmyślnie, bez wiedzy i zezwolenia autora opuszczenia i zmiany, które treść tego feljetonu wykrzywiły i uwłaczają jego wartości, a mianowicie:

1) po słowach: „rozglądam się po sali“ opuścił zamieszczony w oryginale ustęp: „Może się coś zepsuło od czasów Farrère'a, ale widzę same żdźry. Patrz na nie niemal z rozrzewieniem“;

2) po słowach: „To ja siostra wasza“ opuścił zamieszczony w oryginale ustęp: „...dziwka, dobrze znana w Kielcach i w Radomiu, która wyrwana z ojczyzny przyjechała, zawadziwszy o Paryż, obrabiać portowe miasta...“;

3) zamieszczone w oryginale słowo „dziwka“ zastąpił słowem „kobieta“;

4) zamieszczone w oryginale słowa: „pederasty i lesbijski“, zastąpił słowami: „dziwne postacie“.

Motywacja brzmi jak następująca. Oskarżony na rozprawie przyznał, że skrócenia i zmiany wprowadził rozmyślnie, tłumacząc się, że oskarżyciel prywatny, który poprzednio pracował w redakcji „Czasu“, wiedział, iż redakcja „Czasu“, stosownie do kierunku tego dziennika, wprowadza zmiany do przedstawianych jej do ogłoszenia artykułów i feljetonów.

Sąd jednak, przyjmując na podstawie zeznań oskarżyciela prywatnego w charakterze świadka jako stwierdzone, że wówczas, gdy świadek pracował w redakcji „Czasu“, redakcja bez zezwolenia nie wprowadzała żadnych zmian do jego artykułów i feljetonów, gdyż wiedziała, że oskarżyciel prywatny nigdyby się na nie nie zgodził, — a przyjął również, jako stwierdzone, iż oskarżony nie mógł nawet być zdania, że oskarżyciel prywatny, choćby milczał lub w sposób zezwalający na to domniemanie, wyraził swą zgodę na wprowadzenie inkriminowanych skróceń i zmian. Wynika to też jasno z oświadczenia, które oskarżyciel prywatny na dłuższy czas przed pojawieniem się omawianego feljetonu złożył wobec oskarżonego, mianowicie, że o ile coś z utworów świadka, ogłoszonych w „Kurjerze Porannym“, „nada się „Czasowi“, to może je przedrukować.

O tem zaś, że feljeton p. t. „W Sorbonie i gdzieś indziej“, który był trzecim z rzędu feljetonem oskarżyciela prywatnego z serii pod ogólnym tytułem „Z wrażeń paryskich“, nie „nada się Czasowi“, wiedział oskarżyciel prywatny, który, jak wynika z jego listu, dał zezwolenie jedynie na przedrukowanie pierwszego feljetonu z tej serii, mówiąc o feljetonie o p. Rose

Bailly z najbliższego numeru „Kurjera Porannego“. Aczkolwiek bowiem redakcja Czasu w dwóch pierwszych feljetonach nie wprowadziła żadnych zmian, zaraz po otrzymaniu „Czasu“ z drugim feljetonem wysłał do tej redakcji załączony do protokołu oskarżonego pilny telegram, w którym zastrzegł się przeciwko zmianom w trzecim feljetonie.

Druga rozstrzygająca kwestia jest, czy te zmiany i skrócenia wykrywały treść omawianego feljetonu i uwłaczają jego wartości.

Z zeznań oskarżyciela prywatnego wynika, że trzeci feljeton z serii p. t. „Z wrażeń paryskich“ utrzymany był w tonie żartobliwym.

Wskutek opuszczenia i zmian przeprowadzonych przez oskarżonego w tym feljetonie stracił zdaniem sądu feljeton ten swój charakter.

Wobec notorycznie znanego rodzaju twórczości i stylu oskarżyciela prywatnego niezrozumiałe też się stały zdania i ustępy po przeprowadzeniu w nich tych opuszczeń i zmian, a zdeplasowane się stało zamieszczone w 4-m ustępie feljetonu oświadczenie oskarżyciela prywatnego „co ja dziś za rzeczy wypisuję. Dziwka, koń — czy to jest styl dla oficera Legii Honorowej, powiedziałaby mi mój francuski przyjaciel“ — zresztą właśnie ten sposób pisania odpowiada notorycznie znanej twórczości i stylowi oskarżyciela prywatnego. Wskutek zaś inkriminowanych opuszczeń i zmian omawiany feljeton utracił cechy właściwe twórczości i stylowi oskarżyciela prywatnego.

Opuszczenia i zmiany te wykrywały treść omawianego feljetonu i uwłaczają jego wartości.

Oskarżony nie powinien był więc przeprowadzić tych zmian i opuszczeń w feljetonie oskarżyciela prywatnego bez jego zezwolenia.

Jeśli zaś oskarżony był zdania, że ten feljeton w oryginale brzmieniem nie nadaje się do wydrukowania w „Czasie“, nie powinien był go wogóle publikować, nie mając zezwolenia oskarżyciela prywatnego na to opuszczenia i zmiany, a to tem bardziej, iż nie zachodzą także wymogi art. 29 ustawy autorskiej, mówiącej jedynie o zmianach, wywołanych oczywistą koniecznością, których twórca nie miałby słusznej podstawy zabronić.

Wobec tego w czynie, który akt oskarżenia zarzuca oskarżonemu, mieściła się znamiona występek z art. 58 ustawy o prawie autorskim.

Sąd uznał zatem oskarżonego winnym tego występkę i zasądził go w myśl art. 61 tejże ustawy na karę, odpowiadającą jego przewinieniu, przyjmując przy wymiarze kary jako okoliczności łagodzące: częściowe przyznanie się i dotychczasowe nienaganne życie oskarżonego — natomiast nie przyjmując żadnych okoliczności obciążających.

KRONIKA TYGODNIOWA

Dziwka siostra. — Co jest bliższe prawdy? — Kaden wychwalający armję. — Sublimat słów. — Różnica między słowem a rozkazem. — Czego czynić nie wolno. — Piękno odparzonych nóg. — Pochwała barbarzyństwa. — Cyfaty z Kadena. — O zdradzie. — Schiller. — Nowaczynski. — Dezorjentowanie. — Votum nieufności dla własnego pisma. — Luksus.

W ostatnim numerze „Świata“, poświęconym „sprawom armji“, Juliusz Kaden-Bandrowski ogłasza artykuł p. t. „Armja—siostra pokój“. Znacząco zgruba, że armja opiekuje się pokojem, że bratem armji jest pokój. Dziwna to siostra. Ma ta siostrzyczka prawo wyłączności do mordowania swego braciśzka. Bez armji nie byłoby pokoju. Armja stoi na straży pokoju, ślicznie. Ale czy nie bliższe prawdy i sensu byłoby powiedzenie: „Bez armji nie byłoby wojny“? Niech się te siostrzyczki—armje przestaną opiekować światem, a biedny braciśzek—pokój będzie mógł spokojnie pracować, uczyć się i rosnąć.

Nie można bezkarnie żonglować prawdą, nie zdoła tego dokazać nawet tak świątynny pisarz, jak p. Kaden-Bandrowski. Porównywał on armję do zdrowia: „O wojsku — jak o zdrowiu, gdy się ma dobre, nie myśli się prawie. Używa się go w życiu narodu, jak się zdrowia używa. Nie wiesz, że ono właśnie sprawia, iż ruchy twoje są celowe, lekkie, praca szybka i dokładna, że myśl twoja obraca się zwinnie i stanowczo“.

Czyż więc p. Kaden-Bandrowski twierdzi, że bez potwornych sum, bez przeciążania budżetów całego świata wydatkami na armję — praca narodów byłaby mniej dokładna i szybka a myśl obracała się ciężiej i ospalej? Ruinować się poto tylko, aby mieć silną armję, gdzieś się na ten stan rzeczy, który panuje dziś w Europie, na niedzę i krzywdy społeczne i źródło główne tej lichoty naszej — militarizm — nazwać właśnie zdrowiem, — jest to dowód ciężkiej choroby, groźnego zatrucia, któremu niestety podlegają nawet, jak widzimy, najlepsi pisarze.

Juliusz Kaden-Bandrowski, który ostatnio tak wielkie pisze o braterstwie ludzi („ja i ty i oni“), znakomity prozaik, pomyśleć powinien o tem, że od pracy jego pióra i od pisarskich talentów innych narodów Europy zależy w znacznej mierze przyspieszenie tej rekonwalescencji, którą przeżywamy. Choroba wojny jest już znana lasecznik tego zarazka jeszcze nie jest zgładzona,—ale już wiemy gdzie go szukać i jak zwalczać. Wiemy, że sublimatem odkażającym są właśnie słowa. Dlatego, gdy pisarz dotyka tej sprawy, mówi o rzeczach uznanych za najwyższe zło grożące cywilizacji, — obowiązują go winna sumienia oczywista konieczność, których twórca nie miałby słusznej podstawy zabronić.

Wobec tego w czynie, który akt oskarżenia zarzuca oskarżonemu, mieściła się znamiona występek z art. 58 ustawy o prawie autorskim.

Sąd uznał zatem oskarżonego winnym tego występkę i zasądził go w myśl art. 61 tejże ustawy na karę, odpowiadającą jego przewinieniu, przyjmując przy wymiarze kary jako okoliczności łagodzące: częściowe przyznanie się i dotychczasowe nienaganne życie oskarżonego — natomiast nie przyjmując żadnych okoliczności obciążających.

Powiada Kaden z zachwytem o wojsku: „Jedno słowo porusza tu precyzyjnie oddziały całym“. Jedno słowo, jeden artykuł może przyczynić wiele szkody. Słowo może poruszyć nie pod przymusem wziętych do wojska chłopów, niewolników drążących przed karą, — ale poruszyć może sumienia ludzi, którzy uważają się za wolnych. Nie można dziś mówić, że „dobry żołnierz uważa się podczas pokoju zawsze za obrońcę ludności cywilnej“. Nie wolno powoływać się głośno na „kronikę całego świata“. Nie wolno dziś myślicielom pisarzom upajać się okrzykiem sierzanta na podwórzu koszarowem: „To jest wojsko“, ani drukować naiwnych zamówionych elukubracji na aktualny temat.

Oczywiście nie mam prawa protestować przeciw temu jako pisarz — jako pisarz mam tylko prawo zwalczać i polemizować. Ale zabronić Kadonowi powinno jego rzetelne rzemiosło pisarskie, odpowiedzialność za słowo, którą rozumie tak dobrze. Niech nam nie mówi o pięknie maszerujących oddziałów. Sportowe piękno zdrowego ciała sprowadza się zbyt często w wojsku do nóg cuchnących i odparzonych, ten krok rytmiczny, buchający zdrowiem, prowadzi do ran, odbieranych i zadawanych, do ohydnych kalestwa zadanego bratnią ręką człowieka.

Można mówić o wojsku jako o złe koniecznym, można być pesymistą i nie wierzyć w rychłe zerwanie pęt dławiącego Europę militarysty, można mówić nawet o pięknie zbrodni — ale nie zbrodni zorganizowanej pod przymusem, bo chwali się wtedy barbarzyństwo i niewole. Artykuł Kadena dezorjentuje. Czytelnik jego dzieł powinien starać się zapomnieć czem prędzej o tem wystąpieniu, — aby nie przeszkadzało mu nadal w obcowaniu z doskonałym pisarzem. „Niepodobna pisać pięknej prozy słowami, których sensu do dna się nie wyczerpało“. Tak mówi Kaden w swoim artykule. Rozumie on dobrze wartość i odpowiedzialność słowa. Jeśli są słowa — żołnierze w walce o prawdę, są też słowa, które zdradzają.

Kaden w tym pozornie błahym feljetonie zdradził ludzi, którzy z jego imieniem łączą — może słusznie, a może niesłusznie — pewność co do rzetelności słów, zdradził ludzi, którzy wierzyli jego pięknej prozie.

Są to, być może, błahe zdrady, można ten fakt zbagatelizować, jak fakt wystawienia bardzo słabej sztuki Nowaczynskiego przez Schillera, z którego imieniem łączy się w opinii myślącej garstki społeczeństwa pojęcie bojowości i odpowiedzialności. A jednak są to rzeczy ważne, gdyż dezorjentują, zawodzą nikłą gromadkę prawdziwych widzów i czytelników. Trudno jest dziś w Polsce żądać tej konsekwencji od instytucji artystycznych, teatrów, czy pism — ale można żądać od paru jednostek, gdyż stać nas na luksus posiadania choćby kilku ludzi niezawodnych.

Antoni Słonimski.

A negdoty Tydzień bibliograficzny

Przyjaciel Goethego, Tischbein, miał manję dopatrywania się w twarzach ludzkich fizjonomij zwierzęcych. Pewnego dnia spotkał znajomego, któremu już poprzednio zakomun'kował rezultat swoich obserwacji:

— Mój drogi, przepraszam cię tysiąc-krotnie, ale pomyliłem się. Nie jesteś psem, ale osłem.

Na pytanie, kiedy najmocniej odczuł swoją sławę, odpowiedział Victor Hugo całą historijką. Kiedyś późno wracał do domu i czekając na otwarcie bramy, poczuł pewną potrzebę. Użył sobie na ulicy. W tej chwili przechodził jakiś robotnik i podszedłszy do pisarza powiedział:

— O stara świniu, nie wstydziłeś się robić coś podobnego, i to akurat przed domem Victora Hugo!

Moréas powiedział kiedyś w obecności Verlaine'a:

— Jest trzech poetów: Baudelaire, Verlaine i ja... Baudelaire, ponieważ umarł, i Verlaine, ponieważ się tutaj znajduje.

Hauptman spacerował kiedyś po berlińskim ogrodzie zoologicznym. Przez rozstąpienie wstęgi na ścieżkę, zakazaną dla publiczności. Na uwagę policjanta pisarz odpowiada:

— Czy nie widzisz, przyjacielu, z kim rozmawiam?

— Wiem. Nazywa się pan Goethe, ale niech pan zejdzie z tej ścieżki.

Rossini został zaproszony przez pewnego kompozytora na premierę jego nowej opery. Według włoskiego zwyczaju siedział w cylindrze. Przy każdej arji jednak zdejmował go z głowy i uпрzejmie wymachiwał w powietrzu. Zdziwiony kompozytor spytał w końcu co to ma znaczyć.

— Pozdrawiam starych znajomych — odpowiedział Rossini.

Liebermann powiedział kiedyś:

— Historycy sztuki są tylko poto, aby po naszej śmierci uznawać nasze złe obrazy za fałszywe.

Pracownia Degasa była zawsze zupełnie pusta. Na pytania znajomych Degas zwykle odpowiadał:

— Cóż chcecie, Degas kosztuje przeszło pół miliona, nie mogę pozwolić sobie na taki zbytek.

Korespondencja

Jegora. „Desien“ bez wartości.

M. P. Z artykułu w sprawie akademii nie skorzystamy.

H. W. we Lwowie. Recenzji nie wydrukujemy.

Stary Przyjaciel „Wiadomości“. Dziękujemy.

W. Strz. „On i ona“ słabe.

St. Gł. w Wadowicach. Wiemy, jak się wymawia to nazwisko, ale nie uważamy za stosowne spolszczać jego pisowni.

J. Bl. w Plocku. Nie wiemy; może poinformować Szanownego Pana p. Czachowski w Krakowie (Anczyca 11).

H. R. we Lwowie. Brak miejsca nie pozwala nam skorzystać z propozycji Szanownego Pana.

P. P. w Nowym Sączu. Dziękujemy

Edw. W. we Lwowie. Z wiersza nie skorzystamy.

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA poleca wydane świeżo dzieło:

ALEKSANDER BRÜCKNER
SŁOWNIK ETYMOLOGICZNY JĘZYKA POLSKIEGO

Każdy miłośnik języka polskiego skwapliwie zagłębi się w tem dziele, w którym autor, znakomity uczony, o zdumiewająco rozległej wiedzy, poucza o pochodzeniu i znaczeniu każdego słowa oraz wskazuje co z niego wyczytać można dla wniknięcia w dzieje obyczajowości ojczyznej

Cena „Słownika etymologicznego“

Wydanie zwykłe, w ozdobnej oprawie (dwa tomy razem) półno . Zł. 74
półskórek „ 82

Wydanie na papierze czerpanym w ozdobnej oprawie (w dwóch tomach) półno . „ 90
półskórek „ 110

Na życzenie dostarcza się egzemplarzy w zbytkownej oprawie w skórę

Szczegółowe prospekty wysyła się na żądanie

D o n a b y c i a :
w KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ, Kraków, św. Filipa 25,
w KSIĘGARNI JAGIELLOŃSKIEJ, Kraków, Wiślna 3,
i we wszystkich innych księgarniach.

Polska zagranicą

— W październikowym zaszycie „Sozialistische Monatshefte“ Ludwik Quesel kreśli losy projektu paktu nieagresji w Lidze Narodów w sympatycznym tonie dla inicjatywy polskiej.

— Redakcja tygodnika „Die Weltbühne“ polemizuje w numerze z dn. 1 listopada b. r. z „Baltische Presse“ na temat wyrażenia użytego w „Weltbühne“, że Polska „ukradła“ Litwinom Wilno. Nie wchodząc w kwestię praw Polski i Litwy do tego miasta, redakcja stwierdza nęzbity fakt aneksji gwałtem, dokonanej przez gen. Żeligowskiego, i uważa, że na ów czyn, będący w zgodzie z najgorszymi tradycjami polityki imperjalistycznej, niema innej nazwy.

— „Kölnische Illustrierte Volkszeitung“ z dn. 5 listopada b. r. umieszcza zdjęcie z defilady polskich kibiców organizujących wojskowych na placu Saskim.

— Na pierwszej stronie dodatku ilustrowanego do „Prager Presse“ z dn. 6 listopada b. r. znajdujemy fotografię z ceremonii wręczenia listów uwierzytelniających przez posła Grzybowskięgo prezydentowi Masarykowi w Pradze oraz podobiznę Curie - Skłodowskiej w laboratorium.

— „La Vie“ z dn. 1 listopada b. r. przynosi wrażenia z podróży po Polsce Rose Bailly („Le merveilleux voyage des „Amis de la Pologne“) oraz sprawozdanie Roberta Chabrie z książki „De la terre polonaise“ („Une âme polonaise: Franciszka Rodis“), wydanej z rysunkami Makowskiego w Paryżu.

— W nr. 16 „The Slavonic Review“ znajdujemy m. in. artykuł Stanisława Helsztyńskiego o wpływie Ossiana, Milтона i innych poetów angielskich na literaturę polską w. XVIII.

— Mgr. przycząca w „Prager Presse“ z dn. 8 listopada b. r. zapowiedzi książki Forst - Battaglii o współczesnej literaturze polskiej w redakowanej przez niego serii „Literaturen der Gegenwart“. Mgr. podnosi zasługi Forsta dla propagandy literatury polskiej zagranicą i jego metodę wiązania prądów literatury polskiej z prądami literatury europejskiej.

— Dn. 9 listopada b. r. panna Chelmińska wygłosiła w amfiteatrze Sorbony odczyt „Ludzie, zwierzęta i ziemia w dziele Władysława Reymonta“.

— W nakładzie „Gosizdata“ pojawiło

się nowe tłumaczenie „Jaskółki“ Daniłowskiego pióra M. Ziwoła.

— „Krasnaja Gazieta“ przynosi dwa wspomnienia o Daniłowskim: jedno, krótkie, podpisane K., w numerze z dn. 22, drugie, obszerniejsze, podpisane R. Kulę, w numerze z dn. 24 października b. r.

— W leningradzkiej „Krasnoj Gaziety“ z dn. 21 października b. r. znajdujemy artykuł J. Rajtlera p. t. „Śladami „pięknej Francji“, zawierający ostrą krytykę projektu akademii literatury polskiej. Autor podaje obszernie streszczenie artykułu Iryzkowskiego „Królewski łachman“, umieszczonego w nr. 194 „Wiadomości“.

— U Reissnera w Dreźnie pojawiła się „powieść marokańska“ Ossendowskiego „Die Löwin“.

— S. umieszcza w brukselskiej „L'Indépendance Belge“ z dn. 6 listopada b. r. („Les poètes polonais d'aujourd'hui“) sprawozdanie z odczytu Iwaszkiewicza, urządzonego pod auspicjami P. E. N. Clubu w sali Muzeum Książki. Recenzent cytuje nazwiska poetów Touchima, Slovinskiego i Digsinskigo...

— Bukareszteńskie „Propilee Literaire“ z dn. 1 listopada b. r. zamieszczają wzmiankę o zbiorze poezji Kastarskiej.

— W „Prager Presse“ z dn. 3 listopada b. r. znajdujemy artykuł A. M. Świnańskiego „Theater in Posen“.

— W nakładzie Georga Müllera w Monachium ukazały się listy Chopina w przekładzie i opracowaniu A. Guttry'ego.

— Aleksander I. Nazaroff omawia w „The New York Times Book Review“ z dn. 16 Października b. r. książkę Henri Bidou o Chopinie.

— Paul Stefan w recenzji z premiery „Cudu Heljany“ Korgolda w operze wiedeńskiej („Die Bühne“ z dn. 3 listopada b. r.) podnosi fenomenalny głos Kiepiury i podkreśla pracę śpiewaka nad środkami, jakimi omalbył go natura.

Do recenzji dołączono dwie fotografie Kiepiury.

— Córka uczonego czeskiego Jana Gebauera kreśli w świeżo wydanych wspomnieniach dzieje przyjęcia ojca do krakowskiej Akademii Umiejętności.

— „Lidowe Nowiny“ z dn. 25 października b. r. umieszczają obszernie streszczenie artykułu Hulki - Laskowskiego o Capku - Hodzie, umieszczonego w nr. 199 „Wiadomości“.

NOTATKI

Twórczość anonimowa. „L'Intransigeant“ zorganizował ankietę na temat twórczości anonimowej i zwrócił się do szeregu artystów z zapytaniem, czy zgodziliby się nie podpisywać swoich dzieł.

Archiwum wydawnicze. Przy firmie wydawniczej Breitkopf und Härtel w Lipsku, istniejącej od r. 1719, znajduje się archiwum wydawnicze zawierające największy w Niemczech prywatny zbiór autografów. Najbardziej interesujący jest dział muzyczny (około 5 tysięcy rękopisów od Bacha do Busoniego). Imponującą przedstawiła się dział korespondencji: 800.000 listów.

Węgierska stacja kulturalna w Rzymie. Rząd węgierski nabył Palazzo Falconieri w Rzymie, piękny budynek barokowy, w którym znajdują przytułek pracujący na terenie rzymskim uczeni, artyści, pisarze, dziennikarze, historycy, teologowie i prawnicy. Przeniesione zostanie tu również rzymskie Collegium Hungaricum. Rząd węgierski ma zamiar, na wzór francuski, ustanowić szereg nagród i stypendiów (rodzaj „Prix de Rome“) dla malarzy, rzeźbiarzy, architektów i muzyków.

Hiszpańskie święto książki. W październiku b. r. Hiszpanja obchodziła „święto rasy“ i „święto książki“. Zbierano ofiary na pomnik Cervantesa, który ma stanąć na Plaza de Espana w Madrycie (przezem wszyscy urzędnicy hiszpańscy opodatkowali się na ten cel), odbywała się wystawa i sprzedaż rękopisów społecznych pisarzy hiszpańskich, urządzone pokaz książki katalońskiej i szereg odczytów o literaturze katalońskiej.

Zniszczone książki. Według obliczeń jednego z bibliografów kijowskich w czasie rewolucji zniszczono na Ukrainie około 1.700.000 książek. Znacjonalizowano 3.000.000.

Cło na romanse kryminalne. Kanada nałożyła 25%-owe cło na 49 pism i magazynów amerykańskich publikujących wyłącznie historie detektywne.

Numer amerykański. „Die Literarische Welt“ poświęca numer z dn. 14 października b. r. literaturze i sztuce amerykańskiej.

Nagroda im. Moréasa. Statut nagrody imienia Jeana Moréasa został ostatecznie opracowany. Nagroda będzie udzielana co rok za najlepszy tom poezji. Do jury należą Valéry, Fort, de Rognier i Souday.

Bossuet. „La Revue Française“ z dn. 30 października b. r. poświęcona jest w znacznej mierze Bossuetowi.

Popularność Zoli. O popularności Zoli

we Francji świadczy fakt, że od jego śmierci jedynie tylko Fasquelle sprzedał 1.233.000 egzemplarzy jego dzieł. Wraz z innymi wydaniami można liczyć dwa miliony sprzedanych egzemplarzy.

Mussolini a Longfellow. Mussolini przyjął na specjalnej audjencji córkę znakomitego poety amerykańskiego Longfellowa, która wreczyła mu przekład „Boskiej komedji“ dokonany przez ojca.

Pisma młodzieńcze Schwoba. Nakładem Bernouarda ukazał się tom pism młodzieńczych Schwoba, powstałych między 16 — 22 rokiem życia pisarza.

Niewydatne pisma Lafcadi Hearn. W Tokio ukazał się tom niewydanych listów, a w Bostonie — tom zebranych artykułów Lafcadi Hearn. Zdawkowa korespondencja nie przynosi nic ciekawego, to samo da się powiedzieć o publicystyce. Jedno z pism przypomina przy tej okazji historię Kiplinga, który w młodości zarabiał na życie orką dziennikarską, wypisując jak najobfitsze wierszowe na różne tematy. Kiedy stał się sławny, wydawcy zabrali się do wygrzebywania tych „dokumentów“. Ale Kipling zabezpieczył się przed tem w prosty sposób: sam wydał zbiór swych pierwocin pisarskich p. t. „Abaff the Funnel“ („Za kominem“), umieścił na tomie zastrzeżenie „Przedruk wzbroniony“ i nie dopuścił do handlu księgarskiego.

Evariste Gamelin. Evariste Gamelin, bohater powieści France'a „Les dieux ont soif“, istniał w rzeczywistości. Był synem malarza, Jacques'a, jakobina, ale człowiekiem bogatym, który nie musiał zarabiać na utrzymanie malowniem kart do gry.

Heinrich Mann o Thomasu Mannie. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Die Literarische Welt“ powiedział Heinrich Mann o bracie Thomasie, że swojej „olbrzymiej popularności nie okupił koncesjami. Od swej istotnej duchowej postawy nie odchylił się ani na milimetr“.

Brod i Werfel. Nakładem Zsolnaya ukazała się powieść Broda „Die Frau, nach der man sich sehnt“ i nowela Werfela „Geheimnis eines Menschen“.

Nowy zamek Maeterlincka. Maeterlinck sprzedał swój zamek-opactwo Vandrille w Normandii i kupił zamek Coudray-Montpensier, pochodzący z XV w., siedem kilometrów od Chinon, w gminie Seully.

Do Seully należy również wieś Devinière, gdzie według najnowszych badań urodził się Rabelais.

Szkie Gasseta. Ortega y Gasset wydał t. V zbiorowego wydania swoich szkiców p. t. „Widz“.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

Odbito w drukarni „ROLA“ J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klische cynkografii „W. Głowczewski“, Chmielna 18

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5 tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1. m. 2. tel. 223-04. codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18. w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Redaktor: MIECYSŁAW GRYZDEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI